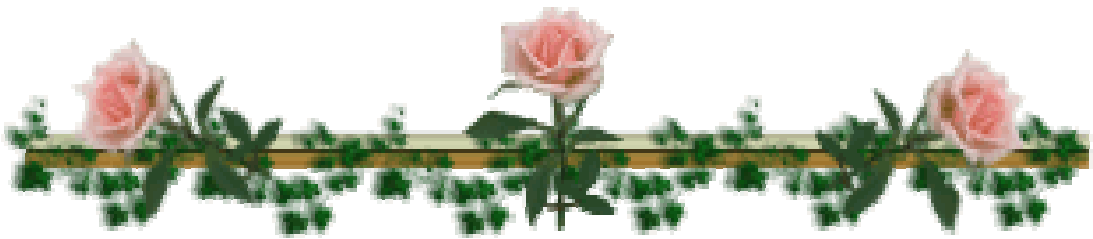




Abigail Gordon



Lekarz policyjny

Tytuł oryginału: Police Surgeon
MEDICAL ROMANCE -133

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pod koniec ciepłego czerwcowego dnia dalekie brzegi rzeki przepływającej przez miasto roiły się od spacerowiczów, dla których ta parna noc miała swój specyficzny urok. Byli wśród nich zakochani trzymający się za ręce; rodzice z dziećmi spędzający wyjątkowo ten wieczór poza domem z powodu upału, i młodzi rozbawieni ludzie raczący się piwem.

Kilkoro nastolatków zbiło się w ciasną grupkę i patrzyło na coś leżącego na brzegu. Caroline szybko się do nich zbliżyła. Miała przed sobą sine, ociekające wodą ciało człowieka.

- Jestem lekarzem, przepuście mnie - odezwała się rozkazującym tonem i przyklękła przy leżącym.

Nie wyczuła pulsu ani bicia serca. Ten człowiek nie żył już od jakiegoś czasu, a pewne oznaki wskazywały wyraźnie na zawał.

- Zostańcie tu, a ja zadzwonię tymczasem po karetkę - powiedziała, wskazując budkę telefoniczną stojącą nieco wyżej przy nadrzecznej promenadzie.

Zanim usłyszała wycie syren obu karetek - policyjnej i ambulansu - otaczał ją już tłum gapiów. Koniec marzeń o spokojnym spacerze po ciężkim dniu, pomyślała smętnie.

Tego wieczoru czuła się dziwnie niespokojna i spięta, dlatego wyszła z domu i trafiła prosto na coś takiego.

Na szczęście jednak zmarłym mieli się teraz zająć sanitariusze i lekarze policyjni, co pozwoliłoby jej opuścić miejsce wypadku.

Niestety, nie' wszystko potoczyło się zgodnie z planem, ponieważ młody oficer policji chciał jej jeszcze zadać kilka rutynowych pytań.

- Chyba nie musimy już pani dłużej zatrzymywać, doktor Croft - powiedział w końcu. - Lekarz policyjny jest w drodze i wszystkim się zajmie. Na razie uważamy ten przypadek za śmierć w niewyjaśnionych okolicznościach.

- To rzeczywiście dziwne - przytaknęła Caroline. - W samym ataku serca nie dostrzegam oczywiście niczego niezwykłego, ale fakt, że nieboszczyk przebywał jakiś czas w wodzie, a jednak został znaleziony na brzegu, może istotnie budzić podejrzenia.

Gdy opuszczała miejsce fatalnego zdarzenia, z mroku wyłonił się nagle szary rover i stanął nieopodal innych aut. Twarz kierowcy spowijał mrok,

lecz Caroline dostrzegła kształt głowy mężczyzny oraz jego wydatny podbródek i serce na chwilę przestało jej bić.

Zagryzła wargi. Ten parny letni wieczór i poczucie osamotnienia to zbyt mało, by przywoływać wspomnienia. Szybkim krokiem ruszyła więc w stronę domu, tam, gdzie ci, których kochała, spali spokojnym snem.

- Przyjechał lekarz policyjny - oznajmił młody policjant, patrząc, jak wysoki ciemnowłosy mężczyzna wysiada z szarego auta.

- Co my tu mamy? - spytał Marcus Owen, gdy wyprostował wreszcie plecy i rozejrzał się dookoła.

- Trudno powiedzieć - odparł policjant. - Nie wiemy, jak długo on tu leży. Możemy jedynie stwierdzić, że kiedy go znaleźliśmy, na reanimację było za późno. Jest całkowicie przesiąknięty wodą, chociaż kiedy znaleźli go ci młodzi ludzie, leżał na brzegu. Przechodząca przypadkiem lekarka stwierdziła zgon. - Urwał i wskazał szorty, podkoszulek oraz sportowe buty mężczyzny. - Niewykluczone, że uprawiał jogging i albo wpadł do wody, albo po prostu chciał się ochłodzić, bo mamy wyjątkowy upał. Oczywiście, ktoś mógł mu pomóc. W tej chwili trudno stwierdzić, czy na pewno dokonano zabójstwa, ale dostrzegam tu coś dziwnego. Liczymy na to, że pomoże pan nam to wyjaśnić, doktorze.

Marcus pochylił się nad zwłokami i dokładnie im się przyjrzał. Ostateczne ustalenie przyczyny zgonu należy wprowadzić do patologa, ale na razie to Marcus miał tu decydujący głos i policja zawsze chętnie słuchała jego opinii.

- Nie dostrzegam tu żadnych śladów napaści. Ponadto uważam, że nieboszczyk spędził w wodzie nie więcej jak kilka minut. Świadczy o tym stan jego skóry - powiedział, zbadawszy uważnie denata. - A skoro mowa o skórze... Widzicie ten ślad na przedramieniu? Brał insulinę. Przekroczenie dawki powoduje zawroty głowy i osłabienie. Tak więc, jeśli był diabetykiem i przypadkowo przedawkował, być może zemdlął i wpadł do wody, jakoś się z niej wyczołgał, a potem dopiero umarł. Albo też naprawdę chciał się ochłodzić, ale doznał szoku termicznego, który z kolei spowodował atak serca. Ma sine wargi, a w kącikach ust ślady piany. Tak czy owak, na razie nie podejrzewam zabójstwa. Siniak na skroni mógł powstać w wyniku upadku.

- W porządku, panie doktorze - przytaknął sierżant. -Każę go zabrać do kostnicy, a tam już patolog potwierdzi pańskie teorie. Oczywiście aby udowodnić, że nie dostaje pieniędzy za darmo, wysnuje przy okazji własną hipotezę. Tymczasem musimy ustalić tożsamość nieboszczyka i skon-

taktować się jak najszybciej z jego rodziną, jeśli takowa istnieje. Jak pan sądzi, ile on miał lat?

- Czterdzieści, może czterdzieści pięć.

- Powinien być w świetnej formie.

- Proszę nie zapominać o cukrzycy.

- Fakt - zgodził się policjant. - Moja szwagierka też na to choruje, ale bierze tabletki.

Kiedy karetka wreszcie odjechała, Marcus został sam. Praca lekarza policyjnego miała wiele ciemnych stron, Marcus często się stykał ze zbrodnią. Tym razem nie podejrzewał zabójstwa i oczekiwał niecierpliwie na potwierdzenie swej hipotezy.

Wrócił do samochodu, myśląc o kolejnych trudnych chwilach, jakie czekały go w przyszłości - zarówno tych związanych z życiem zawodowym, jak i prywatnym.

Gdy jechał do domu, przed oczami stanęła mu znowu twarz z przeszłości. Czyżby ogarniało go szaleństwo?

Kiedy Caroline Croft podniosła głowę znad notatek, zegar w gabinecie wskazywał wpół do jedenastej. Odetchnęła z ulgą. Choć raz spotkanie współników zakończyło się o dość przyzwoitej porze. Nie podejmowano żadnych istotnych decyzji ani też nie dyskutowano na temat drobiazgów, za co była niezmiernie wdzięczna kolegom, gdyż przed jej gabinetem zebrał się tymczasem tłum zniecierpliwionych pacjentów. Potem planowała jeszcze wizyty domowe u kilku chorych, słowem czekał ją pracowity dzień.

Na ogół wszystko przebiegało bez zakłóceń, lecz tego ranka bliźniaki miały lekki katar i chciały zostać w domu. Upewniwszy się, że nic poważnego im nie dolega, Caroline straciła wiele cennych minut na dyskusje i perswazje.

Wychodząc już, znalazła w skrzynce list od Stephanie.

W normalnych okolicznościach przeczytałaby go natychmiast, ale tym razem zabrakło jej czasu. Obiecała sobie w duchu, że powetuje to w gabinecie, lecz niestety, gdy tam dotarła, czekała ją przykra niespodzianka: listu w torebce nie było, został na stoliku w holu.

Zwykle traktowała takie niepowodzenia z przymrużeniem oka, tym razem miała jednak za sobą nie przespaną noc: wezwała ją rodzina pewnego sześćdziesięcioletniego mężczyzny, który leczył się u niej od dawna. Cierpiał on na uporczywe bóle w klatce piersiowej. Zanim Caroline zbadała pacjenta i wezwała karetkę, zrobiło się wpół do czwartej.

Gdy dotarła do domu, ptaki rozpoczynały właśnie poranny koncert. Kładąc się - jak zwykle samotnie - spać, marzyła, by lekarze pracowali tak jak wszyscy - od dziewiątej do piątej.

Brak snu, kłótnia z dziećmi i nie przeczytany list od siostry niczego miłego nie wróżyły. Caroline nie czuła się zresztą tak dobrze jak zwykle.

Gdy do gabinetu wszedł starszy wspólnik Geoffrey Howard, Alison Spence, niezwykle operatywna kierowniczka przychodni, recepcjonistki oraz pielęgniarka natychmiast się zerwały, by go powitać. Caroline zamierzała właśnie uczynić to samo, ale Geoffrey powstrzymał ją gestem ręki.

- Daj spokój - powiedział swym charakterystycznym spokojnym głosem. - Chcę, żebyś kogoś poznała.

- Kogo? - spytała niespokojnie.

Geoffrey zawsze przychodził do niej nie w porę. Sam - wiodąc spokojny żywot podstarzałego kawalera - nie rozumiał problemów, z jakimi borykali się często jego pacjenci i podwładni.

Mieszkał w eleganckim mieszkaniu nad przychodnią, a w piątki rano wyjeżdżał zazwyczaj na długi weekend do swego domku nad morzem, pozostawiając wszystkie sprawy związane z prowadzeniem praktyki Caroline.

Lustro wiszące na przeciwległej ścianie potwierdzało dobitnie jej złe samopoczucie. Caroline poprzysięgła sobie w duchu, że przy najbliższej sposobności poprosi starszego wspólnika o urlop.

- Chyba rozwiązałem nasz problem - oznajmił Geoffrey. - Znalazłem następcę Roberta.

- Nie bardzo rozumiem - powiedziała wolno Caroline. Po śmierci pięćdziesięcioletniego Roberta Hallidaya poszukiwali lekarza, który mógłby zająć jego miejsce. Dotychczas żaden z kandydatów nie wydał się im odpowiedni. Fakt, że Geoffrey powziął tak ważną decyzję, nie pytając jej o zdanie, całkowicie wytrącił Caroline z równowagi.

Jakby czytając w jej myślach, Geoff wyciągnął rękę uspokajającym gestem.

- Będiesz miała coś do powiedzenia, nie martw się. Poprosiłem go o spotkanie za piętnaście jedenasta i myślę, że jeśli odniesiesz równie pozytywne wrażenie jak ja, natychmiast go zatrudnimy. Mamy tu stanowczo zbyt dużo pracy jak na dwie osoby, tym bardziej że ja zwykle wyjeżdżam na weekendy.

- Co wiesz o tym lekarzu? - spytała szybko, nie mogąc oderwać myśli od pełnej poczekalni.

- To syn naszego wspaniałego miasta. Przez pewien czas przebywał za granicą, a teraz wrócił do siebie, do korzeni. Poznałem go przez szefa policji, która go zatrudnia w charakterze konsultanta. Mieszkał przez pewien czas w Kanadzie i nie szukał stałej posady, ale obecnie zmienił zdanie i chce pracować także jako lekarz ogólny.

- Rozumiem - powiedziała wolno. - Więc nie zrezygnuje ze zleceń dla policji?

- Chyba nie.

Zanim zdążyła powiedzieć, że owszem, mają zbyt dużo obowiązków i właśnie dlatego potrzebują kogoś w pełni oddanego praktyce, Sue Bell zaanonsowała doktora Marcusa Owena.

- Wprowadź go - polecił Geoffrey, który zupełnie nie zauważył tego, że jego współpracowniczka zbladła jak ściana i osunęła się na krzesło.

Marcus! To jednak był Marcus, myślała gorączkowo. To on przyjechał wczoraj nad rzekę szarym roverem, a teraz rozważał przyjęcie posady trzeciego wspólnika w jej spółce. Nie widzieli się od lat. Czy w ogóle ją pozna?

Popatrzyła w panice do lustra. Dlaczego, na miłość boską, nie poświęciła większej uwagi swemu wyglądowi, dlaczego przejechała tylko szczotką po włosach i włożyła pierwszą spódnice i bluzkę, jakie wpadły jej w ręce?

Oczywiście, znała odpowiedź. Stało się tak dlatego, że ledwo żyła ze zmęczenia po nie przespanej nocy, a przede wszystkim po wielu tygodniach intensywnej pracy. Czyż zresztą nie był to typowy pech, że musiała spotkać Marcusa akurat tego dnia, gdy nie czuła się najlepiej?

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i Sue wprowadziła Marcusa do gabinetu. Caroline pomyślała, że za moment zemdleje i skompromituje się całkowicie. Na to jednak okazała się zbyt twarda i gdy mężczyźni podawali sobie ręce, wstała po prostu spokojnie z fotela.

Marcus nie spuszczał z niej wzroku od chwili, gdy stanął w progu gabinetu. Przywitawszy się z Geoffreyem, odwrócił się w jej stronę.

- Caroline - powiedział uprzejmie, lecz sucho. - Jak miło cię znów widzieć.

Starszy wspólnik patrzył na nich ze zdziwieniem.

- To wy się znacie? - spytał. Caroline pierwsza odzyskała głos.

- Z dawnych czasów.

Mówiła prawdę. W szkole średniej oboje chodzili do tej samej klasy i wybrali później tę samą akademię medyczną. Na ostatnim roku studiów zakochali się w sobie bez pamięci.

Marcus pozostał niezmienny w swoich uczuciach, ale Caroline nie wytrwała. Chłopak bardzo dużo się uczył i nie chciał poświęcać zbyt wiele czasu na rozrywki, gdy zaś Caroline zaczęła spędzać coraz więcej czasu z młodym, uwodzicielskim blondynem, Jamiem Durantem, Marcus zaczął się do niej odnosić z rezerwą.

Jamie nigdy nie był poważny, co bardzo podobało się Caroline. Dlatego też dokonała wyboru i jak się później okazało, popełniła błąd. Dopiero po jakimś czasie doszła do wniosku, że ten brak odpowiedzialności to wada, a nie zaleta.

Jamie nie studiował medycyny. Uczęszczał do szkoły teatralnej i jak odkryła Caroline już po ślubie, jej złotousty małżonek grał również w życiu. Kłamał i oszukiwał, a także nie szczędził złośliwości pod adresem Marcusa. Widocznie wyczuwał, jak bardzo Caroline cierpi z powodu popełnionej pomyłki.

W końcu, gdy przyjął posadę organizatora rozrywki na pokładzie statku pasażerskiego, Caroline odetchnęła z ulgą. Im dalej Jamie od niej przebywał, tym lepiej się czuła, a ponieważ jej małżonek najwyraźniej nie zamierzał przerywać swych wojaży, bardzo szybko doszło do rozwodu.

Strapiona swym młodzieńczym brakiem wycucia, które zaowocowało rozbitym małżeństwem, Caroline nie chciała się z nikim wiązać. Nie zapomniała jednak nigdy o oddanym studencie medycyny o piwnych oczach i ciemnych włosach, który tak nagle zniknął z jej życia.

Próbowała go nawet odszukać, lecz jej wysiłki okazały się daremne. Doszła zatem do wniosku, że Marcus najprawdopodobniej wyjechał z kraju. Z tego, co mówił Geoffrey, wynikało wyraźnie, że tak się w istocie stało.

Witając się z Marcusem, nie spuszczała z niego wzroku. Zniknął brunet o chłopięcej sylwetce, a stał przed nią dojrzały, dobrze zbudowany mężczyzna ze srebrnymi pasmami na skroniach. Marcus był zawsze bardzo atrakcyjny, lecz teraz wyglądał po prostu fantastycznie.

Dawno uśpione pragnienia znów dały o sobie znać i - by ukryć zmieszanie - Caroline szybko cofnęła rękę.

Gdy Geoffrey poprosił Marcusa, by usiadł, wróciła szybko myślą do problemów merytorycznych.

Jak by to było, gdyby Marcus Owen został trzecim partnerem w ich spółce? - myślała gorączkowo. Jak przebiegałyby ich praca? Czy codzienne spotkania z Marcusem sprawiałyby jej przyjemność, czy też raczej powodowały frustrację?

Na pewno się ożenił, mówiła sobie w duchu. Tak atrakcyjny mężczyzna nie mógł być kawalerem. W trakcie rozmowy Marcus wspomniał jednak tylko, że mieszka w niewielkiej dzielnicy willowej po drugiej stronie katedry.

- Tak więc miałbym bardzo blisko do przychodni - rzekł spokojnie, bez żadnych śladów wzburzenia, jakiemu uległa Caroline. - Chciałbym też dalej współpracować z policją. Mam nadzieję, że to nie będzie stanowiło problemu?

- Na pewno nie - odparł uprzedzająco grzecznie Geoffrey. - A jak ty sądzisz, Caroline?

Nie miała złudzeń, że Geoffrey już wie, jak należy postąpić. Doceniał wysokie kwalifikacje Marcusa, jego doświadczenie, a ponad wszystko pragnął rozwiązać problem braku wspólnika. Czy ona mogła jednak równie szybko podjąć decyzję? Miała już dość nadmiaru obowiązków i nie chciała zatrudniać nikogo jedynie na część etatu.

- Wolałabym, żeby pan doktor Owen mógł poświęcić naszej praktyce cały wolny czas - powiedziała spokojnie. - Miasto nie jest wprawdzie przeludnione, ale mamy wielu pacjentów i wszyscy trzej wspólnicy muszą być absolutnie oddani pracy.

Marcus popatrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

- Tak właśnie zamierzam pracować. Zawsze zresztą angażuję się bez reszty we wszystko, czego się podejmuję - dodał z dziwnym grymasem, który sugerował wyraźnie, że nie może tego samego powiedzieć o Caroline.

- Doktor Owen jest młody, energiczny i na pewno podoła wszystkim obowiązkom - dodał Geoffrey, wyraźnie niezadowolony z Caroline. - Naprawdę nie widzę problemu. Może nas pan na chwilę zostawić samych? To nie potrwa długo.

Marcus skinął głową i wyszedł z pokoju, nie patrząc na Caroline. A ona wiedziała, że powie tylko to, co Geoffrey chce usłyszeć. Musiała wyrazić zgodę. Absurdalny był jednak fakt, że starszy wspólnik nie mógł domyślić się powodów tej nagłej zmiany frontu.

Tak bardzo pragnęła odnaleźć Marcusa, a los odpowiedział na jej modlitwy. Zdawała sobie oczywiście sprawę z tego, że przyjęcie Marcusa do

spółki oznacza koniec spokojnego, uporządkowanego życia, jakie zdołała sobie stworzyć. Zadowolenie musiało nieuchronnie ustąpić rozgoryczeniu i tęsknocie za przeszłością.

Czy rzeczywiście tego pragnęła? Nie była pewna. Nie mogła jednak absolutnie pozwolić na to, by Marcus ponownie zniknął z jej życia. Nic co prawda o nim nie wiedziała, stali się sobie obcy. Czy były narzeczony zobaczył w niej kobietę sukcesu, czy też zestresowaną, zapracowaną lekarzkę? Tak czy inaczej marzyła wyłącznie o tym, by Marcus przyjął posadę.

A jeśli się wycofa? Przecież nie powitała go zbyt gorąco. Jak się okazało, martwiła się niepotrzebnie. Nie patrząc w jej kierunku, Marcus oświadczył, że podejmie pracę, a Geoffrey polecił Sue przynieść butelkę sherry. Caroline nie brała jednak udziału w tej fecie. Wymówiła się pracą.

- Oczywiście, moja droga - odparł uprzejmie Geoffrey. Teraz, gdy już postawił na swoim, nie musiał się niczym martwić. - Idź, pomóż cierpiącym obywatelom tego miasta.

Pół godziny później, gdy wyszła z gabinetu porozmawiać z pielęgniarką, znów natknęła się na Marcusa, który wychodził właśnie z gabinetu Geoffreya.

- Co słyhać u Jamiego? - spytał. - Spotkałem go dwa lata temu. Wychwalał z entuzjazmem uroki małżeństwa.

- Nie ze mną - wyszeptała, czując, że krew odpływa jej z policzków. - Rozwiedliśmy się dawno temu.

- A ty ponownie wyszłaś za mąż? Widziałem cię z synkami... z bliźniakami.

- Widziałeś mnie i nie podszedłeś? - spytała zdziwiona.

- Nie lubię przeszkadzać. Skąd mogłem wiedzieć, czy nie idzie za tobą zazdrosny mąż?

- Nie mam męża. - Oblała się rumieńcem. - Adoptowałam tych chłopców.

Na twarzy Marcusa pojawił się dziwny wyraz.

- A ty? - spytała, przerywając milczenie. - Ożeniłeś się?

- Tak - odparł z rezerwą.

- Czy żona nie czeka niecierpliwie na wiadomości?

- Ona nie żyje.

- Tak mi przykro!

- Poślubiłem kanadyjską pielęgniarkę. Zaraziła się jakimś wirusem w szpitalu i umarła w ciągu paru dni - wyjaśnił krótko. Ta zwięzłość mogła

wynikać zarówno z bólu, jaki wywoływały w nim te wspomnienia, jak i pragnienia, by skrócić rozmowę.

- Bardzo ją kochałeś? - Pytanie wymknęło się jej zupełnie nieoczekiwanie, zanim zdołała je powstrzymać.

- Tak, bardzo - odparł.

Ogarnęły ją dziwne uczucia. Bardziej niż mnie? - krzyczała w duchu. Po takim czasie byłoby to jednak wyjątkowo głupie pytanie i w żadnym wypadku nie zamierzała go wypowiadać.

Geoffrey wyszedł tymczasem ze swego pokoju, a Caroline absolutnie sobie nie życzyła, by dostrzegł jakiegokolwiek napięcie między nią a Marcusem.

Wyciągnęła więc tylko rękę.

- Bardzo się cieszę, że będziemy razem pracować - oświadczyła i ruszyła z powrotem do gabinetu.

- Coś pani dzisiaj nieswoja, pani doktor - mruknęła pielęgniarka Heather Sloane, gdy Caroline poprosiła ją o pobranie krwi od pacjentki uskarżającej się na bóle głowy.

- Rzeczywiście - przyznała. - Jestem zmęczona i nie w formie.

Mogła jeszcze dodać, że przed chwilą zobaczyła kogoś znajomego z dawnych lat, co przyprawiło ją o słabość i drżenie serca. Ale nawet gdyby chciała to powiedzieć, nie miała czasu na plotki, w jej gabinecie siedziała bowiem właśnie zażywna pacjentka w wieku sześćdziesięciu ośmiu lat. Kobieta ta nigdy nie cierpiała na migreny, lecz teraz dokuczały jej bóle w okolicach potylicy. Caroline podejrzewała zgrubienie tętnic mózgowych.

Leczenie środkami przeciwdepresyjnymi nie przyniosło efektów i musiała skierować pacjentkę do specjalisty.

- Cały czas mi się wydaje, że mam raka mózgu albo że lada chwila dostanę wylewu - mówiła kobieta.

Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że są to dolegliwości spowodowane stresem, nie zagrażające jednak życiu.

Kiedy Caroline wróciła do domu o wpół do szóstej, Liam i Luke nie pamiętali już zupełnie o porannym katarze i czuli się znakomicie. Serce zabiło jej mocniej z radości, gdy zobaczyła dwie małe rudawe główki pochylone nad kolejką - prezentem od Świętego Mikołaja.

Dziewięcioletnie bliźniaki dostarczały Caroline nieustającej radości. Chłopców osierociła jej niezamężna przyjaciółka, która podczas porodu nieoczekiwanie zmarła. Caroline adoptowała Liama i Luke'a, gdy mieli

zaledwie kilka tygodni, i na parę lat przerwała pracę, by poświęcić malcom możliwie najwięcej czasu.

Gdy już nieco podrośli, zatrudniła gosposię, a sama podjęła pracę lekarza rodzinnego. Tego wieczoru gosposia, pani Hetty Goodyear, wybierała się właśnie do kina.

- Szkraby wypity już po szklance mleka i zjadły po biszkopcie, pani doktor - zakomunikowała. - Kolacja dla pani czeka w piecyku.

Caroline uśmiechnęła się do siebie. Jak to dobrze być w domu! Dzisiejszy dzień był dziwny i nieco męczący. Odnalazła Marcusa, lecz od czasu ich ostatniego spotkania oboje bardzo się zmienili.

Każde z nich miało już za sobą małżeństwo. Marcus przeżył tragedię związaną ze śmiercią żony, Caroline nie mogła sobie darować pochopnej, niedojrzalej decyzji. Wiele dałaby za to, by Marcus wyznał jej, że nie kochał swej kanadyjskiej pielęgniarki, podobnie jak Caroline nie kochała Jamiego, lecz czuła, iż na pewno nie byłoby to prawdą. Dlaczego zresztą miałyby jej nie kochać?

Poczuła rię nagle absurdalnie zazdrosna o tę kobietę, choć nie miała ku temu żadnych powodów. Przecież to ona, Caroline, zerwała z Marcusem. Błędy młodości należy wybaczać, lecz Caroline nie potrafiła znaleźć dla siebie usprawiedliwienia. Marcus też zapewne nie mógł zrozumieć powodów jej niemądrego postępowania.

Dom z czerwonej cegły, który kupiła przed kilkoma laty, był położony nieopodal katedry. Jak to możliwe, że Marcus mieszka w pobliżu, a ona tego nie zauważyła? Kiedy i gdzie widział ją z bliźniakami? Może na spacerze w pobliskim parku, gdzie chodzili prawie co wieczór? Tego dnia zresztą też się wybierali na przechadzkę.

List od Stephanie leżał tam, gdzie go zostawiła. Czytając niedbałe bazgroły siostry, Caroline odzyskała dobry humor.

Przyjeżdżam w przyszłym tygodniu do twojej głuszy na kilkutygodniowy kurs. Czy mogę się u ciebie zatrzymać? Przyrzekam, że będę grzeczna.

Caroline przycisnęła do siebie list. Pochłonięte własnymi sprawami siostry rzadko się widywały, lecz istniała między nimi silna więź. Ilekroć dochodziło do spotkania, plotkowały i śmiały się jak dawniej.

Starsza o dziesięć lat Caroline nigdy jednak nie wspominała siostrze o Marcusie; gdy się z nim spotykała, Stephanie chodziła jeszcze do szkoły podstawowej, żyjąc bezpiecznie w kręgu rodzinnym, który rozpadł się nagle kilka lat później w wyniku wypadku na wodzie.

Teraz licząca dwadzieścia sześć lat Stephanie nie miała na razie ochoty na małżeństwo; zdecydowanie wolała życie towarzyskie stolicy. Często żartowały sobie ze swych tak odmiennych stylów życia, jednak każda z sióstr szanowała wybór drugiej.

Była pełnia lata i słońce wciąż świeciło jasno, gdy Caroline i chłopcy, stęsknieni za zielenią, wyruszyli do parku.

W brzoskwiniowej sukni oraz pasujących do niej sandałach Caroline czuła się znacznie lepiej niż w porannym uniformie. Szła z przymkniętymi oczami i z twarzą uniesioną do słońca, toteż omal nie wpadła na mężczyznę, stojącego obok małej dziewczynki, która puszczała łódeczkę po stawie przeznaczonym właśnie do takich celów.

- Marcus! - wykrztusiła. - Co ty tu robisz? Chłopcy, którzy biegli przodem, zawrócili natychmiast i zaczęli przypatrywać się tej scenie z dużym zaciekawieniem. Dziewczynka natomiast nie spuszczała wzroku z łódeczki i ścisnęła sznurek tak mocno, jakby od tego zależało jej życie.

- Robię to samo co ty - odrzekł krótko. - Odpoczywam w parku z rodziną.

- Z rodziną? - wyjąkała. - To twoja córeczka?

- Tak, ma na imię Hannah.

- Kto się nią opiekuje? - spytała bez zastanowienia.

- Ja - odparł. - Pomaga mi ciocia Minette. Mieszka z nami. Straciła męża wkrótce po śmierci mojej żony i zaczęła nam pomagać. Hannah ją ubóstwia.

Łódeczka zaplątała się w przybrzeżne wodorosty i chłopcy przybiegli nad staw, aby ją wydostać. Dziewczynka zaśmiała się zadowolona.

- A więc straciłeś żonę zupełnie niedawno? - spytała Caroline, patrząc na dziecko.

- Hannah miała rok, kiedy umarła Kirstie. Teraz skończyła cztery lata i to między innymi dla niej przyjechałem do Anglii. - Rozejrzał się, zatrzymując na chwilę wzrok na starej katedrze. - Chcę, żeby jej korzenie były właśnie tutaj.

Oczy Caroline zaszły mgłą. Nie myślała ani przez chwilę, że Marcus przyjechał tu po to, by ją odnaleźć. Przede wszystkim nie wiedział o jej rozwodzie, a ponadto kochał żonę. Żałowała jednak, że nie przybył tu dla niej. Gdyby tak było, może mogłaby sobie wybaczyć głupstwo popełnione w studenckich czasach.

Jakie to dziwne, że oboje samotnie zajmują się dziećmi, przemknęło jej przez myśl. Marcus wszakże zachowywał się w stosunku do niej z tak daleko idącą rezerwą, że nawet podobne problemy, z jakimi musieli się borykać, nie

dawały szansę na stworzenie więzi. Nie mogła się jednak niczemu dziwić ani tym bardziej winić go o cokolwiek. Sama zasłużyła na taki los.

Liam i Lukę nadal pomagali Hannah wyciągnąć łódeczkę. Byli przy tym wobec dziewczynki tak mili i delikatni, że Caroline uśmiechnęła się z czułością. Pozwalała im czasem popsocić, lecz powtarzała przy każdej okazji, że mają być zawsze dobrzy dla innych, szczególnie młodszych dzieci i zwierząt. Efekty swych nauk miała właśnie okazję ocenić.

Na razie jednak spędzili wystarczająco dużo czasu z enigmatycznym wdowcem i jego pociechą. Od chwili ich porannego niespodziewanego spotkania Caroline nie przestawała myśleć o Marcusie, lecz odnosiła wrażenie, że on wolałby dawkować te kontakty.

- Rozumiem, że pojawisz się w pracy już w poniedziałek - rzuciła zdawkowo, przywoławszy do siebie chłopców.

- Tak. Geoffrey chciałby, żebym zaczął jak najwcześniej. - Patrzył na kręgi pod oczami Caroline. - Podobno macie za sobą trudne dni - dodał obojętnie.

- Owszem - potwierdziła, kiwając głową.

- Ale teraz może będzie lepiej...

- Mam taką nadzieję - odparła, nie myśląc przy tym wyłącznie o przychodni. Marcus jednak nie zrozumiał aluzji.

- Poradzę sobie na pewno ze zleceniami dla policji i pracą u was - dodał szybko, jakby sądził, że Caroline nie wyzbyła się jeszcze swoich wątpliwości.

- Oraz małą dziewczynką - dokończyła z uśmiechem.

- Owszem - przyznał spokojnie. - Już ci zresztą mówiłem, że pomaga mi ciotka.

- Mówiłeś - przytaknęła i odwróciła do bliźniaków. - Chodźcie, pobawicie się z Hannah innym razem.

- Naprawdę? - spytali chórem, podnosząc wzrok na mężczyznę o ciemnych oczach.

- No pewnie - przytaknął Marcus. - Jeśli macie łódeczki, możecie je przynieść nad staw. Urządzimy zawody.

- Kiedy? - spytali podnieceni.

Marcus napotkał fiołkowe spojrzenie Caroline.

- Będę musiał to przedyskutować z waszą mamą. Ona sądzi, że gdy rozpocznę pracę, nie wystarczy mi na nic czasu.

Caroline uśmiechnęła się z przymusem i szybko odwróciła w stronę wyjścia z parku. Dwukrotne spotkanie z Marcusem po tak długiej rozłące

całkowicie wytrąciło ją z równowagi. Musiała na razie odpocząć. Miała poza tym dość jego chłodnej rezerwy.

Idąc do domu myślała, że teraz, gdy Marcus stał się jej współnikiem i sąsiadem, życie nabierze zupełnie nowych barw.

Po powrocie zastała nagraną wiadomość od męża pacjentki, którą badała tego ranka. Kobieta najwyraźniej czuła się gorzej.

Caroline zmarszczyła brwi. Piękna Rowena Miles, młoda matka dwojga dzieci, cierpiała na ostry ból karku. Teraz wystąpił dodatkowo niedowład lewej strony ciała i sytuacja wyglądała naprawdę poważnie.

Rano, kładąc te dolegliwości na karb zmian artretycznych lub zwyrodnienia kręgosłupa, Caroline przepisała Rowenie voltaren, środki przeciwzapalne i signopam na uspokojenie. Nie była jednak pewna swej diagnozy. Gdyby paraliż i intensywny ból nie ustąpiły, musiała wziąć również pod uwagę krwotok wewnątrzczaszkowy.

Hetty poszła do kina, toteż Caroline nie pozostało nic innego, jak wsadzić chłopców do auta, wcisnąć im komiksy do rąk i ruszyć do Milesów.

Stan pacjentki znacznie się pogorszył. Gdy jednak Caroline powiedziała panu Milesowi, że Rowenę należy natychmiast przewieźć do szpitala, niepokój mężczyzny wzrósł.

- Nie mogę wykluczyć krwotoku wewnątrzczaszkowego ani zapalenia opon mózgowych - wyjaśniła. - Zaraz każę przygotować dla niej łóżko.

- Jesteśmy ubezpieczeni - wymamrotał Miles, nie spuszczać wzroku z nieprzytomnej.

- Tym lepiej - rzekła pocieszająco. - Czy może pan przygotować dla niej rzeczy? Ja tymczasem zadzwonię.

- Oczywiście - zgodził się szybko. - Spakuję torbę i zadzwonię po mamę, żeby zaopiekowała się dziećmi.

Caroline skinęła głową. W przypadku choroby w domu konieczność zajęcia się dziećmi pogarszała jedynie sytuację. Sama obawiała się bardzo tego, że kiedyś zachoruje i nie będzie w stanie zająć się bliźniakami. Marcus myślał zapewne o tym samym, ale on mógł przynajmniej liczyć na ciotkę.

Łączyła ich praca oraz problemy związane z samotnym wychowywaniem dzieci. Zmienili się jednak tak bardzo przez te lata, że wszystko inne wyłącznie ich dzieliło.

Caroline była niegdyś lekkomyślną studentką, która jednak ukończyła studia, mimo że nigdy nie osiągnęła wyników tak dobrych jak Marcus. On, zawsze pilny i skupiony, nie pozbawiony przy tym specyficznego poczucia

humoru, zakochał się bez pamięci w medycynie i rudowłosej koleżance ze szkoły i studiów. Ona, nie wiedząc czemu, odrzuciła tę miłość.

Teraz pracowała bardzo ciężko jako lekarz rodzinny i wychowywała bliźniaki. Starła się przy tym żyć rozsądnie, co wynikało ze złych doświadczeń związanych z nieudanym małżeństwem, po którym pozostały jej tylko blizny w sercu i sponiewierane ego.

Marcus - jeśli założyć, że pozory nie mylą - stał się zamkniętym w sobie wdowcem, nadal niezwykle przystojnym, lecz zachowującym dystans wobec świata. A może tylko wobec niej... Może w stosunku do innych zachowywał się serdecznie i po przyjacielsku? Miała się tego dowiedzieć już wkrótce. W poniedziałek.

ROZDZIAŁ DRUGI

Podczas weekendu nie spotkała już Marcusa i jego córki ani w parku, ani w pobliżu katedry, ani zresztą nigdzie indziej. Kiedy w poniedziałek przysłała do pracy za kwadrans dziewiąta, Marcus był już na miejscu i gawędził po przyjacielsku z resztą personelu.

Popatrzył na nią przelotnie i skinął lekko głową. Najwyraźniej nie oszalał z radości na mój widok, myślała gorzko, wieszając żakiet. Czyżby wciąż nie mógł jej wybaczyć Jamiego? Na pewno nie. Choć jego żona umarła, to Marcus, w przeciwieństwie do Caroline, znalazł przecież miłość swego życia.

Gdy ruszyła w stronę recepcji, aby z nim porozmawiać, zobaczyła za sobą Heather Sloane. Zwykle poważna i przedsiębiorcza, dobiegająca czterdziestki kobieta teraz promieniała. Caroline popatrzyła nią pytająco.

- Doktor Owen to właściwa osoba na właściwym miejscu - oznajmiła Heather.

- Co ma pani na myśli?

- Jest energiczny, kompetentny i naprawdę całkowicie oddany pracy.

- Rozumiem. W przeciwieństwie do nas? - spytała Caroline z gorzkim uśmiechem

- Ależ skąd, pani doktor. Pani jest niewątpliwie wspaniała, ale dotychczas brakowało pani wsparcia. Doktora Geoffreya często nie ma i choć nie powinnam się wtrącać w te sprawy, uważam, że największa odpowiedzialność za pacjentów już od dawna spoczywa na pani.

Caroline westchnęła ciężko. Dzień jeszcze się na dobre nie zaczął, a ona już dyskutowała z pielęgniarką na temat ciemnych stron swego zawodu. Kilka metrów dalej stał natomiast ktoś, kogo Heather uznała za dar niebios. Caroline pomyślała, że jeśli Marcus pracuje tak wytrwale, jak niegdyś studiował, być może istotnie okaże się wspaniałym nabytkiem dla spółki.

- Na pewno masz rację - powiedziała i doszła do wniosku, że nadszedł właściwy moment, by się przyznać do znajomości z Marcusem. - Studiowałam z doktorem Owenem, ale straciłam z nim kontakt aż do chwili, gdy Geoffrey zaprosił go na rozmowę kwalifikacyjną.

- Naprawdę? Czy on jest żonaty? - dociekała Heather.

- Był, ale jego żona zmarła przed dwoma laty. Ma małą córeczkę.

- Biedna myszka.

- Na pewno, ale odnoszę wrażenie, że nie cierpi z powodu braku troski i czułości.

Na widok miny Heather omal nie ugryzła się w język. Co w nią wstąpiło? Zachowuje się zupełnie jak specjalista od public relations.

Jeśli po tylu latach w tym chłodnym wdowcu pozostało cokolwiek z dawnego Marcusa, to Caroline na pewno się nie myliła. Marcus kochał ją przecież kiedyś głęboko i szczerze, a ona zrezygnowała z tej miłości dla człowieka, który nie był tego wart.

Był jednak poniedziałek rano i jak zwykle czekał na nią tłum pacjentów, a nie zdążyła się jeszcze nawet przywitać z Marcusem. Pozostawiwszy Heather samej sobie, Caroline ruszyła naprzód.

Stał w drzwiach, patrząc na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Poczula, jak mocno bije jej serce. Miała nadzieję, że spotkanie z Marcusem nie zrobi już na niej takiego wrażenia, lecz jakże się myliła! Nie mogła oderwać wzroku od jego wysportowanej sylwetki, ciemnych, bystrych oczu i pięknych włosów.

Zdobyła się jednak na uśmiech. Nie chciała, by widział, jak reaguje na jego obecność. Przeżyłaby okropne upokorzenie, gdyby Marcus się domyślił, że działa na nią w ten sposób.

- Witaj w wariatkowie - powiedziała swobodnie, wyciągając do niego rękę. - Miło cię widzieć w naszym gronie.

Zabrzmiało to trochę sztucznie, ale na nic innego nie potrafiła się zdobyć. Marcus przyjął zresztą to powitanie za dobrą monetę.

- Przedstawiłem się już pracownikom - odparł uprzedzająco grzecznie, a Caroline aż zacisnęła zęby ze złości. - Zaznajomiłem się również z rozkładem wszystkich pomieszczeń, a szczególnie ze swoim gabinetem. Teraz jestem gotów wskoczyć na głęboką wodę. Sue Bell przygotowała mi już karty pacjentów.

Caroline skinęła głową.

- Świetnie. Zresztą, gdybyś mnie potrzebował, będę przecież tuż obok.

- Istotnie, choć muszę przyznać, że trudno mi się przyzwyczaić do tej myśli.

Odwróciła wzrok. Co to ma znaczyć? Czyżby robiło mu to różnicę?

- Po dyżurze podzielimy wizyty domowe - powiedziała energicznym tonem. - Do tego czasu Geoffrey wróci ze swojego długiego weekendu nad morzem.

- Kiedyś będziesz musiała mi wyjaśnić, co to znaczy - odparł ze smętnym uśmiechem. - Weekendy zawsze wydawały mi się za krótkie.

- Mnie również - zgodziła się natychmiast. Znów znaleźli się na bezpiecznym gruncie. - Jeśli chcesz, możesz w razie potrzeby przyprowadzić córkę do mnie - dodała. -Zatrudniam gosposię, która uwielbia dzieci. Na pewno zajmie się chemie jeszcze jednym.

Rozchmurzył się, ale trwało to zaledwie chwilę.

- Będę pamiętał o twojej propozycji - mruknął.

- To dobrze - odparła obojętnie.

Nie chciała, by posadził ją o to, że się wtrąca w jego prywatne życie. Jeśli chce utrzymywać wobec niej dystans, w porządku. Nie zamierza go do niczego zmuszać. Pragnie jedynie nawiązać koleżeńskie stosunki z tym oschłym, obcym mężczyzną z przeszłości. Teraz jednak nie miała czasu na analizę swych stanów emocjonalnych. Pacjenci czekali, toteż i ona - podobnie jak Marcus - nie chciała już przedłużać rozmowy i ruszyła do gabinetu.

Zawód lekarza rodzinnego krył w sobie wiele pułapek. Caroline najbardziej ze wszystkiego nie lubiła informować pacjentów o tym, że nie ma już dla nich lekarstwa. Zdarzało się tak jednak często, gdy zwracali się do niej chorzy na raka, choć wraz z postępowaniem medycyny liczba zgonów z powodu nowotworów malała z roku na rok. Istniały też inne choroby, niekoniecznie śmiertelne, lecz niewątpliwie bolesne i uprzykrzające życie, na które nie wynaleziono dotychczas żadnego leku.

Elegancka pisarka w średnim wieku, Ann Barcroft, siedząca teraz naprzeciwko Caroline, cierpiała z powodu śródmiąższowego zapalenia pęcherza. To bolesne schorzenie nękało ją już od dawna i chora czuła się coraz gorzej. Gdy ból stawał się nie do zniesienia, lekarze decydowali się na rozciągnięcie ścian, co jednak było niezwykle niebezpieczne, gdyż zdarzały się przypadki pęknięcia pęcherza. Caroline zdecydowałaby się na taki zabieg jedynie w ostateczności.

W miejscowym szpitalu kobietę poddano nowej metodzie leczenia. Ostrzeżono ją jednak, iż kuracja może wywołać efekty uboczne w postaci zaburzeń wzroku. Zmęczona ustawicznym bólem, Ann podjęła ryzyko. Pogorszenie widzenia dało o sobie znać po trzecim z czterech zastrzyków.

Kurację przerwano i po pewnym czasie pacjentka znów zaczęła cierpieć. Caroline mogła jej jedynie polecić środki przeciwbólowe.

- Zapisalam się do grupy samopomocowej - oznajmiła Ann Barcroft ze stoickim spokojem.

- I co? - spytała Caroline.

- Odkryłam, że inni cierpią jeszcze bardziej - odparła gorzko Ann. - Ja przynajmniej nie muszę nosić pampersów i opróżniać pęcherza co pół godziny. Nie wiem jednak, jak sobie poradzę, kiedy sytuacja się pogorszy.

- Trudno się dziwić. Niestety, mogę zaproponować jedynie półśrodki. To niezmiernie rzadka choroba. Zetknęłam się z nią zaledwie dwukrotnie.

- Tak już wygląda moje życie - odrzekła chora kobieta, wykrzywiając usta.

- Nic nie przebiega bez komplikacji. Mogę się założyć, że jestem jedyną osobą w mieście, która musi filtrować wodę.

Caroline uśmiechnęła się do siebie. Podczas jednej z wizyt Ann zaczęła się uskarżać na ustawiczne mdłości. Obie podejrzewały raka żołądka. Potem pacjentka przypomniała sobie jednak dokładnie, w jakich okolicznościach zaczęła chorować, i wszystko stało się jasne.

Przed kilkoma laty doszła do wniosku, że woda z kranu zupełnie jej nie smakuje, więc zaczęła ją filtrować. Kilka miesięcy temu zapomniała jednak kupić nowy filtr. Woda wydała się jej znacznie lepsza niż kiedyś, więc Ann zrezygnowała z jej uzdatniania. Właśnie wtedy zaczęły się mdłości. Wróciła zatem do filtrowania i znów poczuła się lepiej.

- Sądzę, że jest pani po prostu uczulona na chlor - uznała Caroline, gdy uszczęśliwiona Ann przyniosła jej dobre nowiny.

Teraz, gdy pisarka opuściła jej gabinet z receptą na środki przeciwbólowe, Caroline pomyślała smętnie, że ta kobieta nigdy w pełni nie wyzdrowieje.

Kiedy nadeszła przerwa na lunch, Marcus wyszedł z Geoffreyem do pobliskiej restauracji, a Caroline zjadła po prostu kanapkę. Gdy zobaczyła współników idących przez parking i pogrążonych w rozmowie, poczuła nagły przypływ irytacji.

Czyżby to ona miała być teraz outsiderem? Czyżby Marcus zamierzał oczarować wszystkich swoją aparycją i kompetencjami? Wiele wskazywało na to, że tak się właśnie stanie.

Caroline jednak musiała się teraz zająć ważniejszymi sprawami, a przede wszystkim pracą. Zanim pojawił się Marcus, chłopcy i pacjenci stanowili sens jej życia. Nic się zresztą w tej kwestii nie zmieniło, lecz dzięki mężczyźnie, którego od tak dawna pragnęła spotkać, zaczęła patrzeć na wszystko pod nieco innym kątem. A to wprawiało ją w niepokój.

Zatrzymując auto pod niewielkim bungalowem, myślała, że przed ponownym spotkaniem z Marcusem niczego jej właściwie nie brakowało. Należy zatem zaprzestać bujania w obłokach, tym bardziej że Marcus wcale nie szuka jej towarzystwa.

Osiemdziesięcioletnia Evelyn Archer, którą Caroline odwiedziła w domu, była emerytowaną dyrektorką szkoły, która wyszła niedawno ze szpitala. Cierpiała na cukrzycę, chorobę wieńcową i uwarunkowaną genetycznie hemofilię, toteż właściwie nigdy nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Mimo tych wszystkich dolegliwości prowadziła jednak jeszcze do niedawna niezwykle aktywny tryb życia.

W wieku dwudziestu lat - obciążona rodzinnie hemofilią - zdecydowała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, aby nie przekazać choroby ewentualnemu potomstwu. Przełała wszelkie uczucia na swoich uczniów i dzieci przyjaciół. Nigdy zresztą nie mogła narzekać na brak wzajemności z ich strony. Evelyn wypytywała zawsze swą ulubioną panią doktor o chłopców, ich postępy w nauce i kolejne psoty.

Caroline przeczytała właśnie raport ze szpitala, z którego wynikało, że serce staruszki jest w bardzo złym stanie.

Otworzyła drzwi kluczem chowanym przez Evelyn dla przyjaciół w specjalnej kryjówce i weszła do środka. Spokojny uśmiech pacjentki świadczył wyraźnie o zadowoleniu z życia.

- Nie myślała pani o domu opieki? - spytała delikatnie Caroline, skończywszy badanie.

- Ależ oczywiście, że myślałam - odparła natychmiast Evelyn. I wcale mi to nie odpowiada. Wiem jednak, że będę musiała podjąć tę trudną decyzję. Sąsiedzi bardzo mi pomagają, ale noce bywają trudne. Jedna ze znajomych chce tu nocować, ja jednak wolę być sama.

- Rozumiem, ale pani serce jest w naprawdę bardzo złym stanie. To niewiarygodne, że tak świetnie się pani trzyma. Pewnie bez przerwy przychodzili do pani studenci, żeby zgłębić ten niezwykły przypadek.

- Zajmą się mną dopiero po śmierci - odparła Evelyn ze spokojnym uśmiechem. - Oddam ciało do dyspozycji nauki.

- Naprawdę? Nie chce pani pogrzebu?

- Jestem ateistką.

Tym razem Caroline nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Z takiej ateistki powinny brać przykład wszystkie dewotki, jakie miała okazję poznać.

Gdy wróciła do przychodni, zastała Marcusa w pokoju pielęgniarek w towarzystwie Heather Sloane.

- Dowiedziałem się właśnie, że mój poprzednik wykonywał zabiegi w poniedziałek po południu - zawołał do niej.

Zatrzymała się w korytarzu.

- Owszem - potwierdziła. - Teraz, kiedy nie żyje, wykonujemy je wtedy, kiedy mamy czas.

- Możemy jednak wrócić do dawnych obyczajów. Dziś rano była u mnie pacjentka, która niepokoi się znamieniem na twarzy. Według mnie to na pewno nic złośliwego, ale umówiłem się z nią dziś po południu.

- Chcesz to usunąć, mimo że nie podejrzewasz nowotworu?

- Nie lubię ryzyka. W żadnej sytuacji - dodał, wbijając w nią wzrok.

- Ja też nie - odparła, urażona jego tonem, i poszła do swego gabinetu.

Marcus nie zamierzał jednak przerywać rozmowy, gdyż po chwili usłyszała pukanie.

- Proszę - zawołała niechętnie. Tak już musi pozostać, przemknęło jej przez myśl. Przed tym mężczyzną nie ma ucieczki.

- Nie chcesz, żebym z tobą pracował - rzekł ponuro, stając w drzwiach.

Do czego on zmierzał? Czyżby był ślepy?

- Wolałabyś, żebym zniknął ci z oczu, prawda?

- Nic podobnego - odparła, próbując za wszelką cenę zapanować nad głosem. - Jeśli nie witam cię z otwartymi ramionami, to dlatego, że wyczuwam twój brak aprobaty.

- Ponosi cię wyobraźnia - oświadczył, nie spuszczać z niej wzroku. - Zawsze miałaś skłonności do wyciągania pochopnych wniosków, przez co zresztą wylądowałaś w łóżku z pierwszym napotkanym po drodze żigolakiem. Znowu robisz to samo.

Poczuła nagły ból w piersiach. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Marcus do tego stopnia jej nie lubi. Teraz jednak karty leżały na stole, a on wygrywał.

Dlaczego nie widział wszystkiego w tym samym świetle co ona? Popełniła po prostu życiowy błąd i poniosła wszelkie konsekwencje, jakie się z tym wiązały. Ten obcy człowiek o zimnym spojrzeniu zdawał się tego nie rozumieć. Widocznie wyrządziła mu większą krzywdę, niż przypuszczała.

Odwróciła głowę, gdyż poczuła pieczenie pod powiekami. Nie należy okazywać słabości. Jeśli chce zachować resztki godności, musi być silna.

- Cóż takiego robię? Wskakuję do łóżka z igolakiem? - spytała ze śmiechem.

- Nie. Wyciągasz pochopne wnioski.

- Co było, minęło - powiedziała sucho. - W pracy musimy zapomnieć o sprawach osobistych. Źle się chyba stało, że los znowu nas zetknął, ale chowanie urazy pogorszy tylko sytuację.

Mówiąc to sięgnęła po leżące na biurku papiery, a gdy znów podniosła wzrok, Marcusa nie było już w gabinecie.

Tego wieczoru zabrała chłopców na przechadzkę znacznie mniej chemie niż zwykle. Czowała się absolutnie pokonana. Należało jednak żyć dalej i nie chciała, by jej troski miały jakikolwiek wpływ na dzieci.

Musiała tolerować Marcusa w pracy, ale nie mogła dopuścić do tego, by wpływał negatywnie na jej życie prywatne. Gdy mijała staw z łódeczkami i żartowała z chłopcami, w jej sercu panował smutek. Podniosła wzrok na ścieżkę i jak na zawołanie ujrzała przed sobą Marcusa. Tuż obok niego drep-tała Hannah.

Caroline zwolniła kroku. Nie miała ochoty wcale na kolejne spotkanie, ale Liam i Lukę z pewnością nie podzielali jej uczuć. Ujrawszy małą towarzyszkę zabawy znad stawu, popędzili radośnie w jej kierunku. Marcus przystanął, zamienił kilka słów z bliźniakami i odwrócił się do Caroline.

- Witaj - zaczął nieco łagodniej niż przedtem. - Nasze rodziny nie mają chyba żadnych problemów z nawiązaniem kontaktu.

Caroline zmarszczyła brwi. Mimo że Marcus był w trochę lepszym humorze, nadal nie potrafił się powstrzymać od nieprzyjemnych aluzji.

- Co ci jest? - spytał, dostrzegając jej niechętnie spojrzenie. - Coś się stało?

- Nic - odparła bezbarwnym głosem.

- Czyżby? Skoro zatem bez powodu masz taką minę, wolałbym cię nie widzieć, kiedy jesteś naprawdę zła - odrzekł spokojnie.

- Jak mam wyglądać, skoro bez przerwy robisz mi uwagi?

- Jeżeli tak łatwo cię urazić, nie będzie nam się dobrze pracowało - rzekł nieco głośniejszym głosem. - Obserwowałem cię dziś i doszedłem do wniosku, że jesteś kompetentna i że lubią cię i podziwiają zarówno pacjenci, jak i koledzy. Radzisz sobie doskonale ze wszystkimi obowiązkami, jesteś cierpliwa i elastyczna, ale jeśli chodzi o nas, to... No cóż...

- O nas! - wykrzyknęła. - Nie ma żadnych nas! Jesteśmy po prostu kolegami z pracy!

Poczowała szarpnięcie za rękaw.

- Możemy zabrać Hannah na zjeżdżalnię, mamó?
- Spytajcie jej tatę - odparła sztywno.
- Oczywiście - zgodził się Marcus. - Ale jeden z was będzie musiał wejść za nią po drabince i pilnować, żeby nie spadła, a drugi złapie ją na dole, dobrze?

Lukę skinął posłusznie głową i już go nie było. Znów zostali sami, lecz krótka rozmowa z chłopcem ostudziła nieco gniew Caroline.

- Jak ci minął pierwszy dzień w pracy? - spytała, kierując rozmowę na neutralny temat.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

Westchnęła. Czy uda im się kiedykolwiek normalnie porozmawiać?

- Przecież bym nie pytała.

- Zapadł mi w pamięć - odparł z namysłem. - I to bardzo głęboko - dodał. - Był interesujący, pełen trudnych spraw, przyniósł mi wiele satysfakcji. Wystarczy?

Kiedy potrząsnęła głową, przywołał do siebie Hannah.

- Ta młoda dama musi iść spać - powiedział, przytulając do siebie dziewczynkę. - Ciocia Min gotowa pomyśleć, że się zgubiliśmy.

- Oczywiście - zgodziła się natychmiast. - W takim razie do jutra.

Każde z nich udało się w swoją stronę, lecz Caroline było znacznie lżej na sercu. Wiedziała, że z Marcusem łączy ją przynajmniej wspólna pasja - praca.

- Przygotowałam pokój dla pani siostry, pani doktor - rzekła Hetty, kiedy wrócili z parku. - Posłałam łóżko i postawiłam świeże kwiaty na parapecie.

Twarz Caroline pojaśniała z radości.

- Dziękuję ci, Hetty. Już się nie mogę doczekać tego spotkania.

- Lubię widzieć was razem. Wydaje mi się wtedy, że wracają stare czasy.

Caroline uśmiechnęła się trochę smętnie. Przeszłość dawała ostatnio o sobie znać na wiele sposobów, ale Hetty nie musi o tym wiedzieć.

- Stephanie zamierza się wreszcie ustatkować? - spytała Hetty.

- Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Chyba nie znalazła mężczyzny swego życia.

- Miłość przychodzi, kiedy chce - odparła sentencjonalnie gospoia, a Caroline pomyślała, że czasem nawet wraca. Bez wzajemności.

Ułożywszy chłopców spać, myślała o Stephanie. Być może siostra nie chciała wychodzić za mąż. znając fatalne doświadczenia Caroline. Jeśli te

domysły są trafne, powiększałyby to jedynie rozmiary fiaska romansu z Marcusem.

Poglądy sióstr na wiele spraw znacznie się różniły. Gdy Caroline powiedziała Stephanie o zamiarze zaadoptowania bliźniaków, ta wyraziła absolutną dezaprobatę.

- Oszalałaś! A kiedy znajdziesz czas na życie towarzyskie? Nie wystarczy ci praca?

- Nie znajdę czasu - odparła spokojnie. - Ale nie szukam męża i jestem domatorką, więc nie widzę problemu.

I rzeczywiście. Caroline nigdy nie narzekała na swój los. Nawet jeśli czasem tęskniła za magią seksu, pogodziła się łatwo z tą stratą. Płytki, frustrujący związek z Jamiem nauczył ją ostrożności.

Nie zapomniała jednak nigdy o mężczyźnie, który zniknął z jej życia. Teraz pozornie wszystko się zmieniło, lecz Marcus najwyraźniej nie potrafił jej wybaczyć błędów młodości.

Kiedy dzieci zasnęły, Caroline wyszła do ogrodu i długo spacerowała wśród kwiatów. W jej sercu gościł dawny, znajomy ból. W takie noce ogarniała ją zawsze tęsknota za tym, czego naprawdę brakowało jej w życiu - za kochającym człowiekiem. Kiedyś mężczyzna ten pozostawał bezimienną postacią ukrytą w mroku, teraz przybrał wyraźne kształty. Tak wyraźne, że gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłaby Marcusa, który nie towarzyszyłby właśnie przy kolacji swej ciotce, lecz stał przy niej, blisko, a potem wziął ją w ramiona i wyznał, jak wiele to ponowne spotkanie dla niego znaczy.

Tego rodzaju marzenia kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem, lecz nic na to nie mogła poradzić. Odwróciła głowę w stronę domu, gdzie czekało na nią jedynie puste łóżko i pismo medyczne, które obiecała sobie przeczytać przed snem.

Jeszcze tydzień temu bardzo by jej to odpowiadało. Wiedziała również, że następnego dnia uzna swój smętny nastrój za objaw szaleństwa. Teraz jednak, samotna wśród czarów tej letniej nocy, pragnęła zmienić swoje życie.

ROZDZIAŁ TRZECI

Minęło kilka dni. Nie mogła nie zauważyć, że dzięki nowemu wspólnikowi ubyło jej obowiązków. Marcus pracował wspaniale, wykonywał nawet drobne zabiegi operacyjne. Po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuła, że praca wreszcie przestała ją przytłaczać.

Nawet Alison Spence, którą trudno było zadowolić, szczególnie w sytuacji, gdy budżet wisiał na włosku, promieniała z zadowolenia. Heather, Sue Bell i reszta stali się oddanymi sługami nowego doktora, który zasłużył sobie oczywiście na uznanie. Mimo to Caroline wolałaby nie oglądać triumfalnego uśmiechu Geoffreya mówiącego wyraźnie: „Widzisz, jaki jestem genialny? To ja go znalazłem!”.

Pod koniec czwartego tygodnia pracy Marcus spóźnił się na poranne zebranie wspólników.

Wczesnym rankiem, gdy drzemał jeszcze z jednym okiem utkwionym w budzik, zadzwonił telefon, a w słuchawce odezwał się głos policjanta z miejscowej komendy.

- Doktor Owen?

- Słucham.

- Jest pan nam potrzebny. O trzeciej rano aresztowaliśmy paru młodych ludzi za zakłócanie porządku w klubie Cameo. Jedna z dziewcząt jest najwyraźniej chora.

- Już jadę - rzucił w słuchawkę i zaczął się ubierać. Kiedy wybiegał z pokoju, Min stała na podeście.

- Przykro mi, że cię obudzili - powiedział.

- Już nie spalam. Zawsze wcześnie się budzę.

Gdy przechodzili obok pokoju Hannah, ciotka otworzyła drzwi.

- Znam jednak kogoś, kto śpi jak suseł - dodała żartobliwie.

- Do czasu - odparł Marcus, widząc, jak córka porusza się przez sen.

W tej samej chwili przemknęło mu przez myśl, że w sumie mają z Caroline trójkę uroczych dzieciaków. Czyżby uczuciowy galimatias? Skądże. Malcy wydawali się absolutnie szczęśliwi. To dorośli tworzyli problemy.

Kiedy wreszcie dotarł na komisariat i zobaczył dziewczynę, o której wspominał sierżant, skupił się całkowicie na jej dolegliwościach. Miała silne torsje, trupioblada twarz, nierównomiernie rozszerzone źrenice. W trakcie badania straciła przytomność i Marcus kazał natychmiast wezwać karetkę.

Musiła wcześniej ulec obrażeniom, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Policjanci zorientowali się w sytuacji znacznie później i teraz przyszła kolej na zadawanie rutynowych pytań.

Marcus obmacał delikatnie głowę dziewczyny i po lewej stronie czaszki wyczuł miękkie, gąbczaste wgłębienie, powstałe zapewne w wyniku uderzenia. Sprawa wyglądała poważnie. Podejrzał nawet krwotok śródczaszkowy lub coś równie groźnego. Ponura pamiątka po nocy spędzonej poza domem.

- To się nie stało u nas - mruknął sierżant. - Oberwała pewnie po głowie w trakcie ogólnej bijatyki.

- Rozumiem - odparł spokojnie Marcus. - Poza tym wypięła sporo, więc mogła się przewrócić. Ja muszę jednak odnotować, że znalazłem ją w takim stanie już na komisariacie.

Caroline przybiegła na spotkanie w ostatniej chwili. Poprzedniego wieczoru przyjechała Stephanie i siostry rozmawiały aż do wczesnego ranka, by nadrobić stracony czas. Mówiły chyba o wszystkim... oprócz Marcusa.

Dla Stephanie Marcus był zresztą jedynie znajomym Caroline z dawnych czasów. Caroline nigdy nie mówiła siostrze

o swych kłopotach z Jamiem; temat okazał się zbyt bolesny, by poruszać go z kimkolwiek. Teraz, gdy znów stąpała po kruchym lodzie, nie miała ochoty zwierzać się nikomu ze swoich problemów.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - powiedział Marcus, wchodząc do gabinetu Geoffreya. - Wezwała mnie policja. - Słowa te skierował do wszystkich zebranych, ale patrzył tylko na Caroline. Zanim zdążyła zapytać go o cokolwiek, zbliżył się szybko. - Możemy zamienić parę słów? - spytał pośpiesznie.

- No... tak - odparła niepewnie. - Ale szybko. Geoffrey i Alison chcą jak najszybciej wyjść.

- Trudno - odparł tak twardo, że wyszła za nim na korytarz. - O szóstej rano wezwano mnie na komisariat - zaczął, gdy nikt ich nie słyszał. - Policja aresztowała grupę nastolatków za zakłócanie porządku publicznego w klubie Cameo. Już na miejscu okazało się, że jedna z dziewcząt jest w złym stanie. Podejrzewam pęknięcie czaszki. Kiedy odjeżdżała karetką, miała krwotok mozgowo-rdzeniowy z nosa i uszu. Była oczywiście nieprzytomna.

- Bardzo mi przykro - powiedziała wolno Caroline. - Nie rozumiem jednak, w jaki sposób to mnie dotyczy.

- Dziewczyna nazywa się Tracey Sloane - szepnął, zerkając w stronę pielęgniarki gawędzącej właśnie z jedną z recepcjonistek. - Czy Heather ma kilkunastoletnią córkę?

- O Boże! - jęknęła, gdy dotarł do niej wreszcie sens stów Marcusa. - Ma córkę, Tracey. Jeśli to rzeczywiście o nią chodzi, Heather chyba nie wie, co się stało. Oszaleje z rozpaczy! Kto jej powie? Ty czy ja?

- Ja - odparł ponuro Marcus. - Wolałbym jednak tego nie robić. Dziewczyna odniosła poważne obrażenia, a w dodatku w takich okolicznościach...

- Wiem, że Tracey sprawia czasem kłopoty wychowawcze, ale Heather będzie z pewnością myślała wyłącznie o jej zdrowiu.

Geoffrey wyłonił się z gabinetu i chrząknął znacząco.

- Czy my wreszcie zaczniemy? - spytał kwaśno, widząc, jak Marcus wchodzi do recepcji i odciąga Heather na bok.

- Zaczekaj jeszcze chwilę, dobrze? Marcus przywiózł bardzo złe nowiny dla Heather.

- Skoro tak... trudno - odparł Geoffrey niechętnie. W tej samej chwili rozległ się krzyk.

- Nie Tracey! - rozpaczła Heather. - Mówiła przecież, że zostaje na noc u przyjaciółki. Chciały się uczyć.

Sue Bell podeszła do rozhisteryzowanej kobiety.

- Chodź, Heather, zawiozę cię do szpitala - powiedziała łagodnie. - Pan jest potrzebny tutaj.

Po spotkaniu współników Caroline chciała porozmawiać jeszcze z Marcusem, lecz musiała się spotkać z neurologiem, którego prosiła o wizytę domową u chorego dziecka. Wyszła więc z gabinetu, a gdy zmierzała już w stronę parkingu, usłyszała za sobą wołanie Marcusa.

- Wiem, że się spieszysz - powiedział - ale chcę cię o coś spytać.

Odwróciła do niego głowę. O co chodzi tym razem? Dopóki nie poruszali tematów osobistych, panowały między nimi całkiem przyjazne stosunki. Wołała nie wtykać kija w mrowisko.

Na widok jej miny Marcus westchnął ciężko.

- A już się łudziłem, że skończyliśmy tę zabawę w kotka i myszkę.

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Czyżby Marcus czytał w jej myślach? Czy mógł kiedykolwiek zrozumieć, ile dla niej znaczył? Lecz jego pochłaniały na razie zupełnie inne problemy.

- Hannah kończy w sobotę cztery lata - oznajmił, a Caroline aż zadrżała z radości, domyślając się, o co mu chodzi. - Ciotka i ja doszliśmy do wniosku, że urządzimy dla niej przyjęcie. Z tobą i z chłopcami... oczywiście, jeśli zechcecie przyjść. Nie zawarliśmy tutaj zbyt wielu znajomości. Chciałbym to jakoś nadrobić.

- Chłopcy na pewno bardzo się ucieszą. Ja zresztą też przyjdę z przyjemnością. No i miło mi będzie poznać twoją ciotkę. Wpadnij z nią kiedyś do mnie na herbatę. Takie starsze panie trudno się adaptują w nowym otoczeniu.

- Przekażę zaproszenie ciotce. A co do przyjęcia, to czekamy w sobotę o wpół do czwartej - dodał z uśmiechem.

- Może mogę ci jakoś pomóc?

- Chodzi ci o coś takiego jak upieczenie ciasta albo zrobienie kanapek? - spytał żartobliwie. - Dzięki. Zorganizowałem jedzenie. Przyjmę natomiast chętnie wszelkie propozycje gier czy zabaw.

- Coś wymyślę - obiecała. - Ale teraz muszę pędzić. John czeka.

- John? - Zmarszczył ze zdziwieniem brwi.

- John Lennox. Neurochirurg.

- Mówicie sobie po imieniu?

- Tak. Współpracowaliśmy wiele razy. No i udało nam się zaprzyjaźnić.

Zdziwiła ją ta nagła reakcja Marcusa. Chyba nie jest zazdrosny? Zresztą dlaczego nie miałby wiedzieć, że Caroline utrzymuje kontakty ze znajomymi przeciwnej płci? Jeśli, oczywiście, w ogóle go to interesuje.

- Rozumiem. Nie będę cię już więc zatrzymywał - odparł spokojnie i ruszył w stronę przychodni.

Caroline natomiast zastanawiała się jeszcze przez chwilę, dlaczego Marcus okazał się tak bardzo przeczulony na punkcie jednego z bardziej znanych neurochirurgów w okolicy. Tym razem Caroline prosiła Johna o wizytę domową, gdyż matka małej pacjentki cierpiała na agorafobię i miałyby problemy z przewiezieniem córeczki do szpitala.

John zbliżał się do czterdziestki i oczarował Caroline rozbijającym brakiem pewności siebie. Po wizycie u pierwszego wspólnego pacjenta zawarli nieco bliższą znajomość, popijając kawę w pobliskim barku. John nie pragnął jednak nigdy niczego poza przyjaźnią, dzięki czemu ich znajomość mogła się miło rozwijać.

- Więc na czym polega problem? - spytał John, idąc obok Caroline ogrodową ścieżką.

- Rodzice zauważyli u Jessiki brak koordynacji ruchów. Mała nie potrafi siedzieć bez pomocy. Czasem też dostaje czegoś w rodzaju ataku. Pochyla tułów i wyciąga szeroko rozłożone ramiona.

- To pewnie napad zgięciowy. Czy są inne dzieci w rodzinie?

- Tak. Dwaj chłopcy. Chyba całkowicie zdrowi.

Pani Bates przypatrywała się niespokojnie poczynaniom lekarza. John Lennox sprawdził najpierw refleks małej pacjentki, a potem ją zbadał, zwracając szczególną uwagę na odbarwienia na nogach.

- Dziewczynka musi zostać umieszczona na neurochirurgii. Ma sprawność ruchową półrocznego dziecka. Zrobiłem, co mogłem, ale muszę wykonać wiele innych badań. Na przykład tomografię komputerową - powiedział zatroskany.

Caroline serdecznie współczuła pani Bates. Za chwilę może się okazać, że Jessica odziedziczyła po matce poważną chorobę.

Gdy matka małej wysłuchiwała Johna, zaniepokoiła się jeszcze bardziej.

- Nie mogę jej przywieźć - szepnęła. - Jej ojciec będzie musiał wziąć wolne.

- Wszystko jedno, kto z nią przyjedzie. Mała musi dotrzeć do szpitala najpóźniej pojutrze.

Po wyjściu od Batesów długo stali na chodniku.

- To spazmy dziecięce. Nie mylę się, prawda?

- Tak. Podejrzewam stwardnienie guzowate. Zauważyłaś tę wysypkę na buzi i odbarwienia na skórze? Typowe objawy, ale nie mogę być niczego pewien, dopóki nie zrobię dodatkowych badań. Zapewne matka cierpi na łagodną postać choroby i przekazała ją małej.

- Więc?

- Jeśli badania potwierdzą moją diagnozę, trzeba jej od razu podać hormon adrenokortykotropowy. Pobudzi on do pracy gruczoły nadnerczy, co powstrzyma rozwój choroby. Jeśli nie, mała pozostanie głęboko upośledzona. - Zmarszczył brwi. - A co z jej matką? Leczy się?

- Tak. Ale na razie boi się wychodzić z domu.

- Rozumiem. - Popatrzył na nią już rozchmurzony. - A co słyhać u ciebie?

Poczuła, że oblewa się rumieńcem. Nie mogła przecież powiedzieć Johnowi prawdy. Przyznać się, że od przyjazdu Marcusa nie jest sobą, bo czuje, że nadal kocha byłego narzeczonego, lecz on, niestety, nie potrafi zapomnieć o przeszłości.

- Nic specjalnego - odparta. - Przyjeliśmy nowego lekarza, który współpracuje z policją.

- Lekarz policyjny. Słyszałem tylko o Marcusie Owenie. Czy to o nim mówisz?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Policjanci mają o nim znakomitą opinię. Kilkakrotnie pomógł im nawet w śledztwie.

- No i jak tam spotkanie z Johnem Lennoxem? - spytał Marcus, gdy wróciła do przychodni.

- Całkiem nieźle, chociaż dla Batesów nie był to na pewno dobry dzień. Mała cierpi na spazmy dziecięce, a John sądzi, że ich przyczyną może być stwardnienie guzowate. Był jak zwykle w znakomitej formie.

- Czyli? - spytał zdawkowo, choć w oczach pojawił mu się nagle dziwny błysk.

- John Lennox to chodzącą doskonałość. A co ciekawe, ma taką samą opinię o tobie.

- Przecież mnie nie zna.

- Nie, ale powoli stajesz się sławny. Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem.

- Słyszał o twojej współpracy z policją. Przy okazji: masz jakieś wieści o Tracey?

- Jeszcze nie. Sue została z Heather, dopóki nie przyjechał jej mąż, a potem wróciła tutaj. Przenieśli Tracey na neurochirurgię, tak więc zapewne będzie się nią zajmował twój przyjaciel Lennox.

- Możliwe - przytaknęła. - Nie mówił jeszcze o Tracey, bo pewnie nie zdążył jej zbadać.

Marcus miał rozluźniony krawat i podwinięte rękawy koszuli. Gdy dostrzegła jego opalone ręce, straciła natychmiast zdolność koncentracji. Nie mogła odwrócić wzroku, a myślała tylko o tym, jak bardzo pragnie dotyku tego mężczyzny.

Pomijając kilka zdawkowych uścisków dłoni, nie było między nimi dotąd żadnego fizycznego kontaktu. A teraz tak bardzo pragnęła znaleźć się w jego ramionach, poczuć dotyk jego ust.

Twarz mu pociemniała, jakby zrozumiał komunikat, ale nawet się nie poruszył.

- Masz najpiękniejsze oczy na świecie, Caroline. A jeśli potrafię w nich czytać, to chyba jestem w kolejce tuż za Johnem Lennoxem.

Zmarszczyła brwi. Co to ma znaczyć? Czyżby Marcus sądził, że ona nadal sypia, z kim popadnie? Z Johnem, który jest przecież tylko jej przyjacielem? I to podczas pracy?

- Jak dobrze mnie znasz... - mruknęła, powstrzymując piekące łzy. Z przyklepionym uśmiechem podeszła do Marcusa i pocałowała go namiętnie. Pocałunek był jednak całkowicie pozbawiony czułości, która opuściła ją w chwili, gdy Marcus wypowiedział swoją złośliwą uwagę.

Przez moment stał zupełnie nieruchomo, jak wryty, a potem znów wstąpiło w niego życie i oddał Caroline pocałunek, przyciągając do siebie jej głowę. Doznała wrażenia, że wraz z Marcusem przeniosła się gdzieś w kosmos, gdzie nie istnieją lekarze, ich spółki oraz cała reszta świata, a oni krążą wokół gwiazd.

Lecz ta słodka udreka trwała jedynie chwilę. Tuż obok zadzwonił nagle telefon. Głos Alison Spence stawał się coraz wyraźniejszy, a ponadto Caroline odniosła wrażenie, że słyszy w korytarzu ciężkie kroki Geoffreya.

Czy Marcus pragnie jej równie mocno jak ona jego? Dostrzegła nagłą błądź jego twarzy i pulsującą żyłkę na szyi.

- Udana próba. - Cyniczne słowa stanowiły odpowiedź na jej pytanie. - Ciekawe, co by na to powiedział John.

- Już ci tłumaczyłam, że John jest po prostu moim przyjacielem. Chciałabym powiedzieć to samo o tobie.

- A więc masz wątpliwości? Za kogo mnie zatem uważasz? Za wroga?

- Oczywiście, że nie. Raczej za bezwzględnego sędziego. Choć nie rozumiem, skąd ła twoja surowość. Przecież ty też byłeś żonaty.

Zesztywniał. Nieżyjąca Kirstie najwyraźniej stanowiła temat tabu. Caroline nie mogła jednak już niczego wyjaśnić, gdyż Geoffrey naprawdę pojawił się w gabinecie.

- Wprawdzie nie masz dziś dyżuru, ale czeka na ciebie pacjentka - powiedział, patrząc z zainteresowaniem na Caroline. - Możesz ją przyjąć?

- Oczywiście - odparła. - Jak się nazywa?

- Nie wiem - odparł, kręcąc głową. - To chyba jakaś nowa, woli rozmawiać z kobietą.

Starsza pani, która w chwilę później usiadła naprzeciwko Caroline, istotnie nigdy jeszcze nie odwiedziła przychodni. Karta choroby była dopiero w drodze.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała Caroline.

- Dokuczają mi dotkliwe bóle mięśni. Zaczęły się dwa miesiące temu i jest coraz gorzej. Z trudem wstaję z łóżka.

- I sądzi pani, że są to bóle mięśni, a nie stawów?

- Tak.

- Przyjmuje pani jakieś leki?

- Tylko tyroksynę, na nadczynność tarczycy. Caroline przyjrzała się dokładnie cierpiącej.

- Ma pani wszelkie objawy bólu wielomięśniowego. Powoduje go zresztą między innymi nadczynność tarczycy.

- Więc to nie starość? - spytała kobieta ze zdziwieniem.

- I tak, i nie - odparta Caroline z uśmiechem. - Ta dolegliwość dotyka głównie starszych ludzi, przede wszystkim kobiety, ale nie ma nic wspólnego z przysłowiowym „łupaniem w kolanie”. W normalnych okolicznościach poprosiłabym pielęgniarkę o pobranie krwi, żeby sprawdzić opad, ale ponieważ jej nie ma, zrobię to sama. Dzięki temu uda mi się ustalić, czy w organizmie rozwija się jakiś stan zapalny. Jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, będę musiała podać pani sterydy.

Do tej chwili kobieta zachowywała się całkiem spokojnie, wzmianka o sterydach wytrąciła ją jednak z równowagi.

- Och nie! Chyba nie zacznę tyć, prawda?

- Miejmy nadzieję, że nie - pocieszyła ją Caroline. - To skutki uboczne występujące tylko przy większych dawkach. Tak czy inaczej, kurację musimy rozpocząć jak najszybciej. Proszę przyjść za dwa dni, będę wtedy znała wyniki badań i przepiszę leki. Niech się pani niczym nie martwi.

Mimo iż choroba należała do rzadkich, Caroline była niemal przekonana o trafności swej diagnozy. Leczenie należało rozpocząć natychmiast z powodu zagrożenia skroniowym zapaleniem tętnicy, stanem powodującym nagłą ślepotę.

Kiedy poinformowała bliźniaków o zaproszeniu na przyjęcie do Hannah, popatrzyli na nią z powątpiewaniem. Na widok ich reakcji z trudem ukryła uśmiech. Chłopcy uwielbiali przyjęcia, lecz bywali głównie u kolegów z klasy lub u dzieci sąsiadów.

- Lubimy Hannah i chcielibyśmy mieć taką siostrzyczkę - zaczął Lukę z nieporadną dziecięcą dyplomacją - ale czy będziemy tam jedynymi chłopcami?

Liam, który zawsze zgadzał się z bratem, natychmiast go poparł.

- Dziewczynki bawią się w zupełnie co innego niż my.

Caroline uśmiechnęła się ze zrozumieniem. Dziewięcioletni chłopcy czuli się niezręcznie w towarzystwie przedstawicielek płci przeciwnej, lecz ich spotkanie z Hannah miało zupełnie inny charakter. Dziewczynka była o tyle od nich młodsza, że obaj odnosili się do niej bardzo opiekuńczo.

- Tak, będziecie jedynymi chłopcami, ale przy okazji jedynymi gośćmi. Nie zaproszono nikogo poza nami.

Na wieść o tym, że ich pozycja w męskim świecie pozostaje niezagrożona, twarze chłopców pojaśniały, a ich zainteresowanie przyjęciem urodzinowym zdecydowanie wzrosło. Caroline i Hetty popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

Sama Caroline miała sprzeczne uczucia. Początkowo cieszyła się bardzo z zaproszenia, ale później Marcus rzucił kilka złośliwych uwag na temat Johna i uraził ją głęboko, sugerując, jakoby zmieniała mężczyzn jak rękawiczki. To z kolei doprowadziło do tego krótkiego pocałunku, który tak głęboko ją wstrząsnął. Na samo wspomnienie tego incydentu czuła, że pali ją twarz. Cała sytuacja wymknęła się jej całkowicie spod kontroli. Wołała nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby zajście miało miejsce gdzie indziej.

Potem już nie wspomnieli na ten temat ani słowem. Dopiero w piątek po południu Marcus napomknął znów o przyjęciu.

- Tak więc do zobaczenia jutro - powiedział, gdy wychodzili z przychodni.

- Oczywiście. Cała nasza trójka nie może się już doczekać spotkania z Hannah. Postaramy się umilić jej dzień urodzin tak bardzo, jak nam się to tylko uda.

- Dzięki - odparł z lekkim uśmiechem. - Jak już mówiłem, nie znamy tu zbyt wielu osób.

Caroline pomyślała ponownie, że być może Marcus zaprosił ich trójkę wyłącznie z braku innych znajomych. Miał jednak tak szczerze zadowoloną minę, że od razu porzuciła swe wątpliwości.

Gdyby oczekiwała jakiegokolwiek podobieństwa między ciotką Marcusa a swoją gospodynią, srodze by się zawiodła. Hetty była drobną, chudą staruszką o niebieskich oczach i siwych włosach upiętych w porządny kok. Minette Townsend okazała się natomiast pulchniutką kobietką o gładkiej cerze.

Otakowana spojrzeniem spokojnych piwnych oczu Caroline wyprostowała instynktownie plecy i odgarnęła niesforny lok z czoła. Czyżby ciotka Marcusa również postrzegala ją jak kobietę o podejrzanym reputacji? - pomyślała w panice. Pani Townsend uścisnęła jednak serdecznie dłoń swego

gościa, a chłopcy pobiegli pomóc Hannah rozpakować lalkę, którą jej przynieśli.

Marcus powitał ich w kucharskiej czapce na głowie i fartuchu zawiązanym w pasie. Gdy z uśmiechem pomachał im chochlą, Caroline doszła do wniosku, że jej były narzeczony to mężczyzna o wielu twarzach.

Kiedy studiowali medycynę, ona dostrzegała tylko tę jedną, tę należącą do poważnego, przystojnego chłopca pochłoniętego nauką, który jeden jedyny raz zacytował jej piękny, romantyczny wiersz. Na pełnej życia, złaknionej przygód dziewczynie nie wywarło to wówczas absolutnie żadnego wrażenia.

Teraz dostrzegała w nim również inne cechy. Marcus okazał się zdolnym, dociekliwym konsultantem policyjnym i oddanym lekarzem rodzinnym. Surowość zachował jedynie dla Caroline. U siebie przyjmował ją jednak z życzliwością właściwą dobremu gospodarzowi. Niewątpliwie stał się również troskliwym, kochającym ojcem. W domu był chyba najszcześliwszy.

Nie dzięki niej jednak. Caroline i bliźniacy stanowili jedynie narzędzie[^] a dobry humor Marcusa wynikał po prostu z faktu, iż jego córka bawi się świetnie na przyjęciu.

Tak czy owak, Caroline nie zamierzała psuć miłej atmosfery swoimi nastrojami. W trakcie zabawy w ogrodzie humor znacznie się jej poprawił, a gdy w końcu wszyscy zgromadzili się wokół stołu, na którym piętrzyły się urodzinowe pyszności, poczuła się naprawdę znakomicie.

Ledwo skończyli jeść, dzieci w towarzystwie Marcusa znów poszły się bawić, a panie zasiadły do herbaty.

- Podobno skończyliście tę samą szkołę, a potem studia? - zagadnęła pani Townsend.

- To prawda - odparła Caroline.

- Pochodzicie zatem z tego samego miasta? - indagowała starsza pani. - Ja czuję się tu obco. Długo mieszkałam za granicą, ostatnio w Kanadzie. Przyjechałam pomóc Marcusowi i Hannah po stracie Kirstie. - Popatrzyła na mężczyznę przygniecionego ciałami roześmianych dzieci. - Ucieszyłam się, kiedy postanowił wrócić do Anglii. Zawsze mi się zresztą wydawało, że coś go tutaj ciągnie. Nic dziwnego. Tu przecież tkwią jego korzenie.

- Jak to dobrze, że mają panią - rzekła Caroline.

- To raczej ja mogę mówić o szczęściu - zaprotestowała pani Townsend. - Potrzebowałam ich tak bardzo jak oni mnie. Mój mąż umarł wkrótce po śmierci Kirstie. Nie oszalałam z rozpaczy wyłącznie dlatego, że musiałam

opiekować się Hannah. Zyskałam nowy cel, a sądziłam, że nie ma już dla mnie miejsca na świecie.

- Na pewno wszyscy przeżyliście straszne chwile - powiedziała cicho Caroline.

- Jemu było trudniej. Mimo tylu obowiązków zawodowych musiał opiekować się dzieckiem. Co nie znaczy, że nie był do tego przyzwyczajony - dodała z dziwnym wyrazem twarzy.

Caroline zaczęła się zastanawiać, co pani Townsend chciała przez to powiedzieć, gdy jeden z bliźniaków gwałtownie pociągnął ją za rękaw.

- Wymyśliliśmy następną zabawę - oznajmił.

Z udanym westchnieniem podniosła się z krzesła, po czym poszła do dzieci.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Przyjęcie skończyło się o szóstej. Dzieci były bardzo zmęczone, ale zadowolone, a dorośli czuli się podobnie. Chłopcy pożegnali się z Hannah, a ciotka Min zbierała resztki jedzenia. Idąc z Marcusem w kierunku furtki, Caroline żałowała, że to miłe popołudnie dobiega końca.

Może on odzyskuje humor z dala od pracy, myślała, słysząc za sobą kroki dzieci. Jeśli tak, powinni się jak najczęściej widywać poza przychodnią.

Marcus przystanął nagle w pół kroku.

- Mógłbym cię zaprosić na kolację? - zaproponował, jakby czytał w jej myślach. - Dzieci pójdą spać, a my trochę sobie odpoczniemy. Chciałbym ci podziękować za uświetnienie przyjęcia.

Serce zabiło jej mocniej. Czyżby to naprawdę oznaczało rozejm? Marcus patrzył na nią z uśmiechem, lecz w jego oczach czaiły się wątpliwości. Może sądził, że mu odmówi?

Obawy te istotnie nie były pozbawione podstaw. Należało pomyśleć o Stephanie. Tak rzadko się widywały, a w dodatku Stephanie bardzo lubiła się bawić. Hetty już nawet obiecała, że zajmie się dziećmi, jeśli obie panie zechcą spędzić wieczór poza domem.

- Chyba nie mogę - odparła z uśmiechem. - Właśnie przyjechała do mnie siostra i na pewno sądzi, że pójdziemy gdzieś razem.

- Przeprowadź ją. Może zjemy we czwórkę, jeśli znajdziesz dla niej partnera.

Caroline popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Czyżby Marcusowi zależało na jej towarzystwie do tego stopnia, że był gotów spędzić wieczór z obcymi ludźmi? Poważnie w to wątpiła. Zapewne pragnął jedynie zakończyć dzień w dobrym humorze, więc nie chciał być sam.

- Stephanie nie ma tu chyba znajomych - odparła. - Od dawna mieszka w Londynie, ale przekażę jej tę propozycję.

- W takim razie zadzwoń później i powiedz, co ustaliłyście - poprosił, gdy doszli na parking.

- Na pewno to zrobię - obiecała.

- Z przyjemnością zjadłabym z wami kolację, ale nie chcę się czuć jak piąte koło u wozu - powiedziała Stephanie na wieść o propozycji Marcusa. - Kto mógłby iść z nami?

- Przecież to czysto towarzyskie spotkanie - odparła Caroline z lekką goryczą w głosie. - Marcus chce mi po prostu podziękować za obecność na przyjęciu. Możemy zjeść we trójkę.

Stephanie nie dawała się jednak przekonać i Caroline miała już właśnie zawiadomić Marcusa, że wspólna kolacja nie dojdzie do skutku, kiedy zadzwonił telefon, a w słuchawce odezwał się znajomy męski głos.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział John Lennox. - Wiem, że dziś wieczorem nie masz dyżuru, ale dostałem właśnie wyniki testów Jessiki. Sądziłem, że zechcesz je poznać.

- Oczywiście - odparła natychmiast, gdyż właściwie nie przestawała myśleć o dziecku Batesów.

- Analiza potwierdza moją diagnozę. Jessica cierpi na spazmy dziecięce. Jest już, niestety, trochę opóźniona w rozwoju. Rozpoczynam zatem kurację, którą opisałem ci pokrótce w zeszłym tygodniu. Mam nadzieję, że hormon powstrzyma rozwój choroby.

Caroline pomyślała ze smutkiem, że mała Jessica może nigdy nie cieszyć się z takich drobnych przyjemności życia, jakie mieli na co dzień bliźniacy i Hannah.

- Jak się czuje Tracey Sloane, córka naszej pielęgniarki? - spytała jeszcze, zanim John odłożył słuchawkę.

- Dochodzi do siebie. Mogło być jednak znacznie gorzej, gdyby nie dotarła do szpitala na czas.

Caroline pomyślała natychmiast o Marcusie i nagle dostrzegła rozwiązanie problemu.

- Jesteś wolny dziś wieczorem? - spytała szybko.

- A dlaczego pytasz?

- Może poszedłbyś na kolację ze mną, moją siostrą i Marcusem Owenem?

- Tym lekarzem policyjnym?

- No... tak. Marcus zaprosił mnie na kolację, ale odwiedziła mnie siostra i nie chcę jej zostawić samej.

- Chyba rzeczywiście skorzystam z propozycji i wyrwę się choć na chwilę z tego młyna. O której mam wpaść?

- Około dziewiątej?

- Dobrze. I jeszcze jedno. Obiecuję nie mówić o pracy, jeśli Marcus nie zacznie cytować kroniki kryminalnej.

- Trzymam cię za słowo.

Odkładając słuchawkę, żałowała swej pochopnej decyzji. Marcus już i tak posądzał ją o związek z Johnem. Wspólna kolacja mogła go tylko utwierdzić w tym podejrzeniu.

Stephanie włożyła piękną jedwabną suknię w kolorze starego złota. Ubrana w czarne spodnie Caroline poczuła się nagle przy niej jak uboga krewna.

- Pięknie wyglądasz - powiedziała jednak wspaniałomyślnie do siostry, gdy obie czekały na przybycie panów.

- A ty jesteś uosobieniem elegancji - zrewanżowała się tamta.

Caroline uśmiechnęła się z powątpiewaniem. Czy właśnie tak postrzegał ją Marcus? Jako piękną, elegancką kobietę? Czy też po prostu koleżankę z pracy, którą zaprosił na kolację? Matkę dwóch bliźniaków, towarzyszy zabaw Hannah?

W połowie wieczoru doszła do wniosku, że Marcus woli piękno od elegancji. Uśmiechnął się wprawdzie ciepło na jej widok, ale gdy przedstawiła mu -Johna, natychmiast spochmurniał i skierował uwagę na Stephanie. Kiedy zaś siadali przy zarezerwowanym stoliku, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, kto jest czyim partnerem na ten wieczór.

Stephanie była w swoim żywiole. Caroline nie mogła sobie darować tego chwilowego zaćmienia umysłu. Zupełnie niepotrzebnie powiedziała siostrze, że jej i Marcusa nic nie łączy, a w dodatku zaprosiła akurat Johna jako czwartego do towarzystwa.

Stephanie wystarczyło tylko jedno spojrzenie na mężczyznę o zapadniętych policzkach.

- Ten chudzielec nie jest w moim typie - oświadczyła stanowczo.

Taki komentarz, a także reakcja Marcusa na spotkanie z Johnem, nie wpłynęły najlepiej na nastrój Caroline. Przy stoliku panowała wprawdzie serdeczna atmosfera, lecz zainteresowanie, jakim Marcus darzył Stephanie, drażniło Caroline. Pochwyciła w dodatku kilka zdziwionych spojrzeń Johna, który sądził, że to ona miała być partnerką Marcusa na ten wieczór.

Ku jej ogromnemu zdumieniu John stanął na wysokości zadania i starał się oczarować Stephanie. tak że ona i Marcus mieli szansę ocalić resztki dobrego nastroju. Ta próba spaliła jednak na panewce. Caroline z wielkim trudem zmuszała się do uśmiechu, a sympatyczne wrażenie, jakie pozostało po urodzinowym przyjęciu Hannah, uleciało bezpowrotnie.

Kiedy wrócili przed dom Caroline, John zaczął zabawiać Stephanie rozmową, a ona i Marcus mieli znów parę chwil dla siebie.

Marcus myślał, że Caroline jest zmęczona i spięta, ona zaś nie mogła sobie darować swego zachowania. W końcu jednak Stephanie nadrobiła wszelkie niedociągnięcia starszej siostry i nikt nie mógł winić jej o to, że uważała Marcusa za atrakcyjnego mężczyznę.

John jak zawsze starał się przystosować do okoliczności. Caroline żałowała, że to nie przy nim serce bije jej szybciej niż zwykle. Niestety, działał tak na nią ten pełen rezerwy mężczyzna, kochanek z dawnych lat, który w dodatku zbyt łatwo posądził ją o romans z kolegą po fachu.

- Dziękuję ci raz jeszcze za to, że pozwoliłaś mi spędzić z sobą dzień - powiedział, gdy perlisty śmiech Stephanie zakłócił ponownie wieczorną ciszę.

- To raczej ja spędzałam ten czas z tobą - odparła niezręcznie, chcąc jednocześnie dać mu do zrozumienia, że najchętniej dzieliłaby z nim całe życie, a nie tylko jedno popołudnie.

Wzruszył ramionami, jakby uznał temat za wyczerpany.

- Twoja siostra to świetny kompan - dodał, czym kompletnie wyprowadził ją z równowagi. - Mam nadzieję, że cenisz sobie zaloty Johna tak bardzo jak ja zainteresowanie Stephanie.

Poczuła nowy przyływ złości. Czyżby on naprawdę niczego nie dostrzegał? Przecież tłumaczyła mu już, że John to tylko przyjaciel. A może Marcus usiłuje dać jej do zrozumienia, że nie obchodzi go wcale, z kim utrzymuje bliższe stosunki? Ale jeśli tak, to dlaczego zapraszają na kolację?

Na to pytanie odpowiedziała sobie już wcześniej. Podziękował jej po prostu za udział w przyjęciu.

- Zawsze dobrze się czuję w towarzystwie Johna - odparła chłodno. - Pozwól jednak, że teraz się pożegnam. To był naprawdę długi dzień - dodała i weszła do domu.

W poniedziałek rano do Caroline dotarty kolejne pocieszające informacje na temat Tracey Sloane. Przeniesiono ją z OIOM-u na oddział chirurgiczny i jej rodzice odzyskali spokój. Heather jednak nadal nie bardzo mogła uwierzyć w to, że jej córka trafiła do aresztu.

Tego dnia wśród pacjentów Caroline był trzydziestoletni mężczyzna. Do zasięgnięcia porady lekarskiej namówiła go narzeczona.

- Moja dziewczyna bez przerwy mi powtarza, że z powodu mojego chrapania nie może zasnąć - wyznał niechętnie. - Może cierpię na nadczynność tarczycy? To schorzenie powtarza się często w naszej rodzinie, a ja w dodatku jestem zawsze zmęczony.

- Leczę pana mamę i babcię. Pobiorę teraz panu krew do analizy, ale nadczynność tarczycy występuje znacznie częściej u kobiet niż u mężczyzn. Wszystko jednak dokładnie sprawdzimy. Najpierw zajrzę panu do gardła.

Zgodnie z tym, czego się spodziewała, pacjent miał mocno powiększone migdały.

- Skieruję pana do laryngologa. Sądzę, że chrapanie wynika raczej z choroby gardła. Często pan chrypie?

- Owszem, ale tak było zawsze.

- Pańskie migdały są w strasznym stanie.

- Ale dlaczego odczuwam ciągle zmęczenie?

- Zapewne z powodu niehigienicznego trybu życia: palenie, brak świeżego powietrza, gimnastyki. Musimy się najpierw zająć pana gardłem. Często bywa tak, że rozwiązanie jednego problemu niweluje następny.

Pozostali pacjenci skarżyli się głównie na kaszel i katar sienny spowodowany letnim pyleniem roślin. Caroline była wdzięczna losowi za tak łatwe przypadki. Jej dobry humor skończył się jednak wraz z przybyciem Amandy Prescott, czterdziestoletniej gospodyni domowej.

- Kiedy wracałam wczoraj wieczorem z gimnastyki, zostałam napadnięta - wyznała w końcu nerwowo kobieta.

- Zgwałcona? - spytała Caroline.

- Nie. - Amanda potrząsnęła głową. - Ale ten typ pobił mnie tak, że mam siniaki na całym ciele.

- Zaraz panią obejrzę - rzekła łagodnie Caroline. - Była pani na policji?

Kobieta pokręciła smutno głową.

- Nie. Mężowi nie podobał się mój strój. Mówił, że sama się proszę o kłopoty. Ale wieczór był taki ciepły, a w dodatku po gimnastyce i tak robi się nam zawsze gorąco... Włożyłam tylko szorty i obcisły top, Nie mam odwagi mu powiedzieć, co się stało. Chyba by mnie zabił.

- Martwiłby się raczej stanem pani zdrowia - szepnęła Caroline, patrząc na siniaki na udach i pośladkach kobiety. Dostrzegła również pod jej lewą piersią ranę najprawdopodobniej zadaną nożem. - Musi pani złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa - powiedziała łagodnie, lecz stanowczo. - To im nie może uść na sucho. W tej przychodni pracuje z nami lekarz policyjny. Poproszę, żeby panią zbadał, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Czy on to zgłosi? - spytała przerażona Amanda drżącym głosem.

- Wydaje mi się, że tak.

Caroline nie miała cienia wątpliwości, że Marcus będzie nalegał na powiadomienie policji. Gdy jej pacjentka niechętnie wyraziła zgodę, poszła go poszukać.

Zakończył właśnie dyżur i pił kawę w recepcji. Na widok miny Caroline odstawił natychmiast filiżankę i wstał.

- Przyjmuję właśnie ofiarę napadu - powiedziała cicho.

- Kobieta jest poważnie poturbowana, ale nie zgłosiła sprawy na policję w obawie przed reakcją męża.

- Należało założyć szwy - stwierdził Marcus. kiedy obejrzał ranę pod piersią. - Teraz trochę na to za późno. Rozumiem, że napastnik miał nóż.

- Nie pamiętam - szepnęła. - Ale tak, musiał mieć nóż.

- I nie była pani napastowana seksualnie?

- Nie. - Uśmiechnęła się przez łzy. - Nie na darmo dbam o kondycję. Trafiłam go kolanem dokładnie we właściwe miejsce i uciekłam. Przedtem jednak zdążył mnie dotkliwie pobić i zranić.

- Dlatego właśnie musi pani zgłosić napaść. - Marcus pokiwał poważnie głową. - Kolejna ofiara tego bandyty może mieć mniej szczęścia. Ja zaraz zaczynam wizyty domowe, ale jestem gotów zabrać panią na policję, a gdyby spotkała się pani z przykrościami ze strony męża, proszę przysłać go do nas. Niech porozmawia z doktor Croft albo ze mną.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie. - Wiem, że Bill bardzo się zmartwi, ale i tak mi nie wybaczy tego stroju. Spał, kiedy wróciłam do domu, a potem opatuliliam się kołdrą po sam czubek nosa, więc niczego nie zauważył. A jego przewidywania spełniły się, niestety, co do joty.

- Rozumiem oba punkty widzenia - odparła Caroline.

- Mąż, jak się okazuje, nie bez powodu martwił się o pani bezpieczeństwo, ale z drugiej strony kobieta powinna mieć prawo do tego, żeby chodzić spokojnie po ulicy niezależnie od stroju.

Marcus czekał na Caroline przy drzwiach.

- Zjesz lunch na miejscu czy wyjdiesz do miasta? - spytał.

- Pójdę do domu - odparła. - A dlaczego pytasz? Wzruszył ramionami.

- Tak sobie. Do zobaczenia - rzucił i wyszedł.

Przebijając się przez korek, Caroline myślała, że jeśli Marcus zamierzał ją namówić na miłą pogawędkę przy kawie i kanapkach, to musi poczekać. Nadal nie mogła mu wybaczyć sobotniego popołudnia.

Chłopcy byli jeszcze w szkole, a Stephanie właśnie dziś wybrała się po zakupy, tak więc Caroline mogła spokojnie pogawędzić z Hetty.

- Stephanie jest zachwycona Marcusem - oznajmiła gosposia, stawiając na stole talerz z omletem i filiżankę kawy.

- Owszem - westchnęła Caroline.

- Wydawało mi się jednak, że wy...

- istotnie, wiele nas łączy - odparła gorzko. - Praca, samotne wychowywanie dzieci. Ale on chyba za mną nie przepada. Kiedyś się spotykaliśmy i Marcus sądzi, że sprawiłam mu zawód.

- I ma rację?

- Tak, ale byłam wtedy bardzo młoda i naiwna.

- Naprawdę? - Hetty aż uniosła brwi ze zdziwienia i Caroline musiała się uśmiechnąć.

- Czy to znaczy, że nie możesz sobie tego wyobrazić?

- Dla mnie jest pani po prostu czułą matką i świetną lekarką, a jeśli ten mężczyzna nie jest ślepy, powinien w pani dostrzegać dokładnie te same cechy.

- Może i dostrzega - zgodziła się bez przekonania. - Zresztą jest w podobnej sytuacji. Sam wychowuje córkę i nie ma mi chyba za złe tego, co robię obecnie. Dawne urazy przesłaniają mu całkowicie pole widzenia.

- W takim razie koniecznie powinien iść do okulisty - odparła gniewnie Hetty i zajęła się zmywaniem.

Caroline siedziała jeszcze przez chwilę nad nie dokończonym omletem. Żałowała, że Marcus jest taki idealny. Można by sądzić, że nigdy się nie myli. Nie знаła nikogo równie opanowanego jak on. A jednak... był taki moment, gdy tę zbroję obojętności przebiła namiętność i oboje przywarli do siebie, jakby nikt poza nimi nie istniał na świecie.

To jednak trwało zaledwie chwilę i Marcus bardzo szybko odzyskał równowagę.

Czyżby już zawsze musiała się pocieszać tą jedną chwilą uniesienia? Chwilą, która miała się nigdy nie powtórzyć?

Kiedy wróciła do pracy, Ali son i Geoffrey kłócili się zażarcie i żadne z nich nie zamierzało dać za wygraną. Z dyskusji wynikało, że Geoffrey nie stosował się do przepisu mówiącego wyraźnie o tym, by przepisywać pacjentom jak najtańsze leki, jeśli nie spowoduje to oczywiście uszczerbku na ich zdrowiu. Alison wykryła finansowe szaleństwa Geoffreya i zwróciła mu na nie uwagę.

- Chyba pani zapomniała, że jestem starszym wspólnikiem i wypisywałem recepty, kiedy pani jeszcze była w powijakach - odparł arogancko.

- Za to teraz rozumuje pan jak dziecko - zrewanżowała się natychmiast.

- Za dużo sobie pani pozwala, panno Spence! - powiedział Geoffrey, marszcząc groźnie brwi.

- Nie sędzę. Moja praca polega na kontrolowaniu finansów firmy i niczym innym się nie zajmuję. Ustaliliśmy już dawno, że jeśli mniej kosztowne lekarstwo działa równie skutecznie jak droższe, wybierzemy tańsze. Caroline i Marcus wywiązujące z tej umowy, a...

- A ja nie?! - wybuchnął.

- Niestety, nie.

- Coś podobnego! - prychnął i poszedł szybko do swego gabinetu.

Caroline i Alison wymieniły smętne uśmiechy. Caroline pomyślała, że Geoffrey zawsze ustanawiał prawa sam dla siebie, ale trafił na groźnego przeciwnika w osobie Alison.

Znalazłszy się w gabinecie, nacisnęła dzwonek wzywający pierwszego pacjenta. Na widok Eileen Jackson, zajmującej się oprowadzaniem turystów po katedrze, zmarszczyła brwi.

- Nie ma tu pani karty - powiedziała spokojnie, przeglądając leżące na biurku papiery.

- Poprosiłam panie z recepcji, żeby pozwoliły mi zamienić z panią parę słów. Chodzi o Kena. On zresztą wybiera się tutaj po południu, ale muszę sama najpierw z panią porozmawiać.

- Rozumiem - odparła Caroline. Ken, miejscowy ogrodnik, był mężem Eileen, jednak ingerencja krewnych komplikowała często proces leczenia. - Cóż zatem panią do mnie sprowadza?

- Wczoraj wieczorem Ken zemdlął. Leżał bez czucia dobrych kilka minut, ale twierdził, że nic się nie stało. Gdybym się nie uparła, nawet nie zamówiłby sobie wizyty.

- Skoro mąż bagatelizuje problem, może opowie mi pani o tym dokładniej?

- Zmywałam, a Ken oglądał telewizję. Nagle wszedł, zataczając się, do kuchni. Twarz miał białą jak prześcieradło. Kiwał się przez chwilę w progu, a potem runął na podłogę.

- Wezwała pani karetkę?

- Tak, ale w izbie przyjęć niczego nie wykryli. Po dwóch godzinach wysłali męża do domu i właśnie dlatego chciałam, żeby go pani zbadała.

- Jakoś sobie z nim poradzę - odparła z uśmiechem Caroline.

- Tylko proszę mu nie mówić, że tu byłam, dobrze? Na pewno byłby na mnie wściekły. Nie znosi, gdy robię zamieszanie.

W pół godziny później Ken Jackson - opalony i uśmiechnięty - stanął w drzwiach gabinetu. Wyglądał w tej chwili na okaz zdrowia.

Po wysłuchaniu jego opowieści Caroline z trudem ukryła uśmiech. Eileen miała niewątpliwie rację, twierdząc, że mąż zbagatelizuje problem. Słuchając jego wersji, można by sądzić, że po prostu się potknął.

- Co dokładnie pan wtedy robił? - spytała, gdy skończył.

- Oglądałem program o szpitalu dziecięcym. Operowali takiego brzdąca i wszędzie była krew. Nagle poczułem, że jest mi niedobrze, a potem znalazłem się na podłodze. Sądzi pani, że to przez ten reportaż? Czułbym się jak krety.

- Tak, istotnie uważam, że zareagował pan w ten sposób na oglądany film. Nawet całkowicie zdrowi ludzie mdleją czasem na widok krwi. Niemniej skieruję pana do specjalisty, który być może zleci ekg. Tymczasem nie wolno panu prowadzić samochodu.

- Tylko nie to! - wykrzyknął z rozpaczą. - Życie bez auta w ogóle nie ma sensu!

- Gdyby stracił pan nagle przytomność, siedząc za kierownicą, mogłoby się to okazać fatalne w skutkach zarówno dla pana, jak i dla innych - upomniała go. - Proszę zachowywać się rozsądnie!

- Chyba nie mam wyboru. - Pokiwa! smętnie głową. - To wszystko wina Eileen. Nie powinienem był tu wcale przychodzić.

Cierpliwość Caroline zaczęła się powoli wyczerpywać.

- Przecież pańska żona prowadzi, prawda?

- Tylko wtedy, kiedy jej na to pozwolę.

- W takim razie nie widzę problemu - odparła tonem wskazującym wyraźnie na to, że uznaje wizytę za zakończoną i zanim Ken zdążył cokolwiek powiedzieć, wezwała brzęczykiem kolejnego pacjenta. Młody mężczyzna umierający na raka znosił swój los o wiele spokojniej niż Ken.

Z Marcusem widziała się zaledwie przelotnie, po kłótni Alison z Geoffreyem.

- O co poszło? - spytał ją wtedy.

- Później ci powiem - zbyła go krótko, nie chcąc rozwodzić się nad faktem, że ich praktyka ma również cienie.

Następnego dnia obudziła się z myślą o Evelyn Archer, swojej ulubionej pacjentce. Stan Evelyn oraz jej decyzja o przeprowadzce do domu opieki

budziły poważny niepokój Caroline. Dotarwszy na miejsce, nacisnęła trzykrotnie dzwonek, wyjęła klucz z kryjówki i otworzyła drzwi.

Tego ranka nikt jej jednak nie powitał. Kiedy weszła do ciasnego przedpokoju, zrozumiała natychmiast, dlaczego tak się stało. Evelyn leżała w fotelu przed kominkiem. Głowa opadła jej na ramię, na bladej twarzy pojawiła się kamienna maska śmierci.

Caroline poczuła jednocześnie ogromny żal i ulgę. Śmierć rzadko przychodzi w porę, lecz w tym przypadku ocalała chorą starszą panią od utraty niezależności, którą tak bardzo sobie ceniła.

Nie stwierdziwszy oznak życia, Caroline wezwała karetkę i policję, po czym usiadła przy zmarłej. Ujawszy delikatnie jej zimną jak lód dłoń, szeptała Evelyn, jak bardzo ceniła sobie ich przyjaźń. A potem położyła głowę na nieruchomej piersi i rozplakała się jak dziecko.

Nie słyszała kroków w korytarzu, lecz na dźwięk głosu Marcusa natychmiast przestała szlochać.

- Caroline! - zawołał. - Co się tutaj dzieje? Przecież nie możesz jej pomóc.

- Wiem! - odparła cicho. - Gdy ją znalazłam, już nie żyła. Była nie tylko moją pacjentką, ale i przyjaciółką. To dobrze, że odeszła. Nie będzie musiała mieszkać w domu opieki.

- Dlaczego więc tak rozpaczasz? - spytał.

- Bo umarła osoba, która wiele dla mnie znaczyła. Znałam ją od bardzo dawna.

- Podejdz do mnie - poprosił cicho, a gdy Caroline wypuściła z uścisku palce zmarłej, otworzył szeroko ramiona. Stali długo spleceni w uścisku, słuchając tykania zegara.

Marcus mijął właśnie dom Evelyn, gdy zobaczył na podjeździe samochód Caroline, a ponieważ chciał ją o coś zapytać, zatrzymał auto w nadziei, że jego współniczka za chwilę wyjdzie. Kiedy się jednak nie pojawiła, wszedł do środka. Dla pacjentki nie mógł już nic zrobić; to Caroline wymagała pomocy. Ta sama Caroline, która chwilami wydawała mu się całkowicie nieosiągalna, a potem znów tak bliska, że sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Już kiedyś założył, że ta kobieta należy do niego, i popełnił błąd. Nie znał jej wcale tak dobrze, jak mu się wydawało. Małżeństwo z Kirstie też przyniosło mu wiele bólu. Miał raz na zawsze dość cierpień.

Na podjeździe rozległ się krok. Delikatnie, ale stanowczo odsunął od siebie Caroline. Powoli odzyskiwał zdrowy rozsądek. Gdy rozmawiała z policją, Marcus otrzymał pilne wezwanie.

- Muszę jechać do wypadku - powiedział. - Policja coś podejrzewa.

- Oczywiście - odparła bezbarwnym głosem, świadomie unikając jego spojrzenia.

Urok prysł; znów przypomniała sobie wydarzenia sobotniego wieczoru. Nie przestawała myśleć o tym, że Stephanie jest najwyraźniej oczarowana Marcusem. Nie przeszkadzał jej nawet fakt, że to wdowiec z małym dzieckiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy już zabrano ciało Evelyn, Caroline zamknęła dom i w posępnym nastroju kontynuowała wizyty domowe. Jej kolejny pacjent należał również do seniorów, ale czuł się znacznie lepiej niż podczas poprzedniego badania.

William Santer, emerytowany maszynista kolejowy, omal nie umarł w czasie poprzednich świąt w wyniku zakażenia wirusem E-coli, które spowodowało poważne komplikacje zdrowotne: atak serca, a na dodatek niewydolność wątroby.

Odkąd William opuścił szpital, Caroline odwiedzała go regularnie i uważnie śledziła proces rekonwalescencji. Poza Williamem Santerem zachorowało wtedy kilka innych osób, a źródła choroby doszukiwano się tym razem w nawozie stosowanym przez jednego z farmerów w hodowli warzyw. Poprzednio feralne okazały się klopsiki sprzedawane u miejscowego rzeźnika.

Tego dnia William czekał na nią przy bramie, co stanowiło wyraźny dowód, że czuje się lepiej. Dotychczas witał ją na siedząco, przy kominku.

- Złapałem byka za rogi - oznajmił z uśmiechem.

- Ma pan na myśli E-coli?

- Owszem. Aż do tej pory wirus dawał mi się we znaki, ale wczoraj znów poczułem, że żyję. Wróciłem z dalekiej podróży, prawda?

- Był pan w naprawdę ciężkim stanie. Walczył pan o życie w szpitalu, a ludzie panikowali. Szczególnie nerwowa atmosfera panowała wśród rzeźników. Potem okazało się jednak, że mięso jest wolne od wirusa. William pokiwał ponuro głową.

- Kto by pomyślał, że warzywa mogą zaszkodzić?

- Jak się okazało, w dzisiejszych czasach trzeba szczególnie dokładnie wszystko myć.

Roześmiał się, pokazując żółte zęby.

- Nawet szynkę?

- Miałam na myśli surowe jedzenie.

- Ach, rozumiem.

- Doskonale o tym wiem. Niezły kpiarz z pana. Teraz chciałabym wejść do domu i osłuchać pana serce.

- Już chciało przestać bić, aleja się nie dałem. Byle wirus mnie nie pokona.

- Nie wolno lekceważyć E-coli. To groźny przeciwnik - ostrzegła.

Kiedy wróciła do przychodni, czekały na nią wyniki morfologii pacjentki zagrożonej skroniowym zapaleniem tętnicy. Wysokie OB potwierdzało podejrzenie bólu wielomięśniowego. W tej sytuacji musiała się jak najszybciej skontaktować ze swą pacjentką i zaaplikować jej leczenie sterydami, by nie dopuścić do zniszczenia nerwu wzrokowego.

Po rozmowie z chorą usiadła na krześle i spojrzała za okno. Katedra była skąpana w popołudniowym słońcu, ulice pełne przechodniów i turystów. Poczła się nagle osaczona - świat, w którym tak dobrze się czuła przed przybyciem Marcusa, przypominał teraz więzienie.

On zaś zaparkował swój samochód przed budynkiem i w chwilę później stanął w progu. Był zmęczony i blady, najwyraźniej w nie najlepszym humorze.

- Jakież kłopoty? - spytała. Nerwowo przygładził włosy.

- Zawsze coś się dzieje. Dziś też. chociaż akurat nie miało to związku z policją.

- Opowiedz.

- Na pewno nie chciałabyś słuchać.

Nadszedł najlepszy moment, by mu powiedzieć, że interesuje ją wszystko, co się wiąże z jego życiem. Bała się jednak krytycznych spojrzeń i ironicznych komentarzy.

- Jak sobie życzysz - odparła, wzruszając ramionami.

- Nie ma się o co obrażać - odparł pojednawczo. - Przeżyłaś dość jak na jeden dzień. Chyba nie masz ochoty na wysłuchiwanie ponurych opowieści.

Uśmiechnęła się lekko. Złość natychmiast jej przeszła, gdyż Marcus okazywał jej troskę.

- Chciałabym zabrać chłopców nad morze w niedzielę - powiedziała pod wpływem jakiegoś szalonego impulsu.

- Chyba zaproszę też Hannah, jeśli się zgodzisz.

Popatrzył na nią tak dziwnie, że natychmiast pożałowała tej propozycji.

- Samą Hannah? A czym ja ci się naraziłem?

- Niczym. Nie wiem tylko, czy lubisz takie wyprawy.

- A jak sądzisz?

- Niestety, nie mam pojęcia.

- I na pewno się nie domyślasz? - spytał z ironią. - Stephanie też się tam wybiera? I Lennox?

- Tylko ja i dzieci - odparła spokojnie, żałując, że w ogóle mu o tym powiedziała. - Stephanie spędza najbliższy weekend z przyjaciółmi z kursu, a John zajmuje się ojcem.

A nawet gdyby był wolny, i tak bym go nie zaprosiła, dodała w myślach. Z jakiego powodu miałyby się jednak tłumaczyć z czegokolwiek przed Marcusem?

- Więc mogę pojechać z wami? - zapytał. - W ten weekend muszę być niestety pod telefonem, więc nie powinienem się wybierać zbyt daleko. W sobotnie popołudnia policja ma zwykle bardzo dużo roboty. Smutne, ale prawdziwe.

Poczuła, że mocno bije jej serce. Fakt, że Marcus się zgodził, sprawił jej naprawdę ogromną przyjemność. Na wyprawę mogła czekać nawet i pół roku.

- Jakoś się dogadamy. Może zaprosić też ciotkę?

- Ona z przyjemnością od nas odpocznie. Natomiast Hannah będzie zachwycona wycieczką.

- A ty?

- Chętnie z wami pojadę - odparł wymijająco i musiało jej to wystarczyć.

- Zgadnijcie, kogo dzisiaj spotkałam? - spytała Stephanie przy kolacji.

- Spice Girls - wypali! Liam.

- Królową - zasugerował Luke. Siostry popatrzyły na nich z uśmiechem.

- Spice Girls dają dziś koncert - wyjaśnił Liam.

- A królowa otworzyła nową szkołę - bronił się Luke.

- Nie zgadliście. To był ktoś znacznie miłszy. Założę się, że wasza mama już się domyśla - odparła Stephanie.

- Marcusa? - spytała wolno Caroline.

- Bingo. Właśnie wychodził z komendy.

- No i?

- Pogawędziliśmy chwilę, a potem Marcus powiedział, żebym kiedyś wpadła na kolację.

Caroline natychmiast straciła humor i apetyt. Marcus nie wspomniał ani słowem o tym spotkaniu. Może powinna wreszcie wyjawic siostrze swoje prawdziwe uczucia? Stephanie, która darzyła ją przecież siostrzaną miłością, natychmiast przestałyby zwracać Marcusowi głowę. Prawda nie mogła jej jednak przejść przez gardło.

Między nią a Marcusem coś się raz na zawsze skończyło i nic nie mogło tego wskrzesić. Wyobrażała sobie właśnie, jak prowadzi rozpromienioną Stephanie do ołtarza, gdy nagle usłyszała głosy w korytarzu.

- Przyszedł pan Lennox - oznajmiła Hetty. Caroline bardzo się zdziwiła.

- Nie wstawajcie - powiedział John, wchodząc do pokoju. - Nie chcę przeszkadzać w kolacji. Przechodziłem tędy i chciałem się z wami podzielić radosną nowiną. Traccy Sloane czuje się znacznie lepiej. Pod koniec tygodnia wyjdzie chyba ze szpitala.

- To wspaniale! - zawołała Caroline. - Jej rodzice już wiedzą?

- Oczywiście. Wreszcie się trochę uspokoili.

- No. ja myślę - wtrąciła Stephanie.

- Nie wyjechałaś? - spytał zdawkowo John. - Nie tęsknisz za wielkomięjskim życiem?

Stephanie oblała się rumieńcem.

- Nie - odparła. - Czasem trzeba zmienić środowisko, żeby się przekonać, że nie zawsze w domu najlepiej.

- Coś podobnego - mruknął, odwracając się do wyjścia. - Może kiedyś jeszcze o tym porozmawiamy.

- Nie wiedziałam, że John tu bywa - powiedziała Stephanie, gdy za gościem zamknęły się drzwi.

- Bo nie bywa. Nie licząc zeszłej soboty, przyszedł dzisiaj pierwszy raz.

- Może coś między wami jest?

- Może tak, może nie! - sarknęła Caroline. - Jak już mówiłam Marcusowi, John to mój kolega.

- Więc nie kochasz się w żadnym z nich?

- Nie, w nikim się niekocham - skłamała. - Poza tym kolacja stygnie.

Marcus nie zwierzył się Caroline ze swych problemów, gdyż nie chciał jej denerwować. Na jeden dzień miała dość przeżyć. Kiedy jednak wrócił do domu, nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Czuł potrzebę, aby się z kimś podzielić swoimi wątpliwościami, a jego wybór w oczywisty sposób padł na byłą narzeczoną.

Miał zaufanie do własnej oceny sytuacji, ale lekarz policyjny musi często rozwiązywać trudne problemy. Tym razem wezwano go do bardzo skomplikowanego przypadku i nie mógł się pozbyć wrażenia, że coś uszło jego uwagi.

- To wygląda na samobójstwo - powiedział zdenerwowany inspektor policji, gdy Marcus pochylił się nad ciałem, leżącym w ciemnej uliczce

niedaleko komisariatu. - Ale zupełnie nie rozumiem powodu, dla którego ten facet chciałby odebrać sobie życie. Wypuściliśmy go z komisariatu bez stawiania mu jakichkolwiek zarzutów.

Na chodniku leżała fiolka i całe mnóstwo białych tabletek. Gdy Marcus przyjrzał się etykietce, odkrył, że to buteleczka po witaminach.

- To by go nie zabiło - oświadczył ponuro. - Dostrzegam jednak typowe objawy zatrucia. Spójrzcie na jego usta. Jakaś żrąca substancja poparzyła mu wargi, a nawet śluzówki. Nienaturalna sztywność kończyn również wskazuje na truciznę. Co on miał w kieszeniach, kiedy go aresztowaliście?

- Nic nadzwyczajnego. Klucze, portfel, chusteczkę - odparł policjant. - Nie pamiętam tej fiolki z witaminami, mógł ją jednak schować gdzie indziej. Kazaliśmy mu tylko opróżnić kieszenie. Ale znaleźliśmy przy nim coś jeszcze.

- Co? - spytał Marcus, nie odrywając wzroku od ciała.

- Rzodkiewki.

- Rzodkiewki?!

- Ano tak. Może zerwał je podczas tej dzikiej szarży na ogród sąsiadów. Chciał powycinać im drzewa, bo zasłaniały mu słońce. Przywieźliśmy go na komisariat, daliśmy ostrzeżenie i wypuściliśmy. - Popatrzył na leżące ciało. - Ale on najwyraźniej nie zaszedł daleko.

- Niektóre trucizny działają szybko - przypomniał Marcus. - Wydaje mi się jednak, że nikt nie targnąłby się na życie z tak błahego powodu.

- On traktował całą tę sprawę bardzo poważnie. Aż się pienił z wściekłości.

- Przede wszystkim trzeba zrobić sekcję. Zawiadomcie lekarza sądowego.

Teraz Hannah śpi grzecznie w łóżeczku, ciocia Minnie siedzi przed telewizorem, a on błąka się po mieszkaniu, usiłując znaleźć jakieś logiczne rozwiązanie problemu.

Kiedy w kilka minut później Caroline usłyszała w słuchawce jego głos, otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Jesteś zajęta?

- Właściwie... nie - zająknęła się. - A dlaczego pytasz?

- Czy możesz mi poświęcić pół godziny? Muszę z tobą omówić pewien problem. Chłopcy śpią?

- Nie, ale Hetty jest w domu. Chcesz rozmawiać u mnie czy wolisz, żebym przyjechała?

- Spotkajmy się w połowie drogi - zaproponował. - Taki piękny wieczór...
W sam raz na spacer.

Czyżby naprawdę istniała szansa, by dzień o tak smutnym początku zakończył się szczęśliwie? Spacer o zmierzchu z Marcusem? Cóż takiego pragnął z nią przedyskutować?

Spotkali się przy wejściu do parku.

- Dziękuję, że przyszedłeś - rzekł, gdy ruszyli w stronę jeziora, którego tafla lśniła w zachodzącym słońcu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. O czym chcesz rozmawiać?

Spochmurniał, a Caroline zamarła w oczekiwaniu. Sądząc po minie, nie zamierzał powiedzieć nic przyjemnego. Nic, co mogłoby ją przyprawić o przyspieszone bicie serca.

- Potrzebuję twojej pomocy - wyznał, odwracając do niej głowę. - Potrafisz tak chłodno, logicznie myśleć.

- O co chodzi? - spytała, czując, że otrzymała właśnie zawołowany komplement.

- O coś, co wiąże się z moją pracą dla policji. Poczula, że ogarniają rozczarowanie. Więc wyciągnął ją z domu w tak piękny wieczór po to, by rozmawiać o pracy? Czy tylko do tego się nadawała?

- Wcześniej nie chciałeś o tym mówić - powiedziała, kryjąc rozczarowanie.

- Rzeczywiście. Wiem, że miałaś ciężki dzień, ale ta sprawa nie daje mi spokoju. Muszę się z kimś podzielić swoimi przemyśleniami. Wyniki sekcji, których jeszcze nie znam, na pewno ułatwią mi zadanie, ale wolałbym najpierw przyjąć własną hipotezę.

Caroline popatrzyła na niego uważnie. Był zawsze taki opanowany, pewny swego. Fakt, że pytał ją o zdanie, stanowił niewątpliwie powód do dumy. Ale to Stephanie została zaproszona do niego na kolację, pomyślała gorzko.

- A więc? - ponagliła.

Kiedy skończył opowiadać, zaległa cisza, gdyż Caroline musiała przeanalizować usłyszane wiadomości. Ta niecodzienna rozmowa mimo wszystko sprawiła jej przyjemność: Marcus mógł szukać rady u Geoffreya lub innych kolegów, lecz wybrał właśnie ją.

- Niektórzy wręcz przepadają za rzodkiewkami - powiedziała w końcu.

Marcus popatrzył na nią z zaciekawieniem.

- Co?

- Chyba mówiłeś, że ten mężczyzna miał przy sobie rzodkiewki.

- Owszem - odparł zaintrygowany.

- Być może to tylko niczym nie poparte domysły, ale... Wspominałeś o kłótni, prawda? Pamiętam, że jest taka trująca roślina, której korzenie przypominają rzodkiewkę.

- Oczywiście! - wykrzyknął Marcus. - To się chyba nazywa tojad mordownik albo tojad żółty. Zawiera kwas, akonitynę, i przez to jest bardzo niebezpieczny. To najbardziej trująca roślina w Anglii. Naprawdę uważasz, że mógł ją zjeść przez pomyłkę? Nie do wiary! Ale chyba masz rację.

Roześmiał się cichym, gardłowym śmiechem i w przyływie radości porwał Caroline w ramiona.

- Jesteś niesamowita! - skostatował, gdy położyła mu głowę na piersiach.

- Jako osoba czy kobieta? - spytała, choć mogła w ten sposób wszystko popsuć.

To było ryzykowne odezwanie, ale nie miała nic do stracenia.

- Dlaczego cię to interesuje?

- Bo muszę wiedzieć, czy mi wybaczyłeś.

- Czy wybaczyłem ci to, że potraktowałaś moje serce jak worek treningowy? Zmieniłaś jasno wytyczoną ścieżkę w ciemną uliczkę? - spytał kpiąco.

- Zapłaciłam za to, Marcus. I to z tysiąc razy. Zawsze chciałam naprawić swój błąd.

- Naprawdę? - wycedził prowokująco. - Udowodnij. Czy óbrze słyszy? Czy on naprawdę prosi o to, co się jej wydaje? To nieoczekiwane zaproszenie wytrąciło ją z równowagi, ale nie mogła odmówić. Gdy zarzuciła mu ręce na szyję, pomyślała, że już po raz drugi przejmuje inicjatywę w podobnej sytuacji. Czyżby tak miało pozostać?

Gdy dotknęła ustami jego warg, stał przez moment nieruchomo, jakby pragnął, by roznieciła w nim ogień. A starała się to uczynić tak gorąco i czule, że zmiękczyłaby kamień. Jej pieszczoty wyrażały całą miłość, jaką go od dawna darzyła, a w oczach czaiły się obietnice. Poczwała jego dłoń na piersi, później na udzie, i oddała się rozkoszy. Odepchnął ją od siebie akurat w chwili, gdy myślała, że tworzą właśnie podwaliny nowego związku.

- Co się stało? - szepnęła.

- Pomogłaś mi rozwiązać pewien problem, ale to nie znaczy, że wszystko ci się uda.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała ze złością.

- Sądzisz, że zależy mi wyłącznie na tym, żeby pójść z tobą do łóżka? Czy też znów chciałeś zrobić ze mnie idiotkę?

- Sama musisz się domyślić - odparł powoli.

W świetle zachodzącego słońca wyglądał jak groźne bóstwo z brązu. Znów wystawiał ją na próbę, a ona nie mogła tego znieść.

- Przyszłam tutaj, bo mnie o to prosiłeś! - krzyknęła.

- To nie ja zaaranżowałam to spotkanie. Ale chyba wykonałam swoje zadanie, jakiegokolwiek by ono było, więc już mogę iść - rzuciła na zakończenie i z dumnie podniesioną głową skierowała się do domu.

- Proszę się dziś trzymać z daleka od doktora Owena

- poradziła Sue Bell. - To nie jest jego dobry dzień.

- Naprawdę?

Caroline pomyślała, że zna przyczyny takiego stanu rzeczy, ale po wysłuchaniu Sue doszła do wniosku, że jednak nie wie wszystkiego.

- Pół nocy spędził przy chorej córeczce. Hannah złapała ospę wietrzną, a do tego ma chore migdałki.

- Musiała zachorować w nocy - rzekła Caroline. - Doktor Owen nie wspominał wczoraj o tym ani słowem. Biedna Hannah. Czasem dzieci naprawdę potrzebują matki, ale jestem pewna, że ciotka Marcusa potrafi sprostać sytuacji.

- Niestety nie. Ta pani musi iść po południu na badania. Doktor znalazł się w bardzo trudnym położeniu.

Caroline otworzyła szeroko oczy. Marcus najwyraźniej nie zwierzał się jej ze wszystkiego.

- Jak długo potrwać te badania?

- Parę dni, a Hannah nie może przecież chodzić do przedszkola. Trudno mu będzie znaleźć opiekunkę do dziecka, które jest chore na chorobę zakaźną.

Przecież mógłby zwrócić się do mnie, pomyślała z irytacją. Była jedyną osobą, na którą Marcus mógł liczyć. Przystania w środku burzy. Hetty była silna, a jej siostrzenica wielokrotnie ofiarowała swą pomoc w nagłej potrzebie. Jedno dziecko więcej nie stanowiło żadnego problemu, a chłopcy przechodzili już ospę. Nic nie stało na przeszkodzie, aby Marcus zostawiał u nich dziewczynkę rano i odbierał ją po pracy.

Wbrew dobrym radom Sue Caroline poszła go szukać. Siedział z pochmurną twarzą w swoim gabinecie.

- Słucham, Caroline? Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał zimno.

Przysiadła na brzegu biurka i popatrzyła na niego z ukosa. Poprzedniego dnia to Marcus panował nad sytuacją, teraz . nadeszła kolej na nią.

- To raczej ja mogę zrobić coś dla ciebie - odparła spokojnie. - Podobno nie jesteś w najlepszym humorze, więc przejdę od razu do rzeczy. Wiem, że Hannah jest chora, a ciotka ma iść po południu na badania.

Popatrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- Tak, to prawda. Dziś rano okazało się, że jest dla niej miejsce, więc nie może nie skorzystać z okazji.

- Co zamierzasz zrobić?

- Gdyby Hannah była zdrowa, chodziłaby do przedszkola, a potem przywoziłbym ją tutaj na dwie godziny. Przez tę ospę wszystko się jednak skomplikowało. Ciotka chce zrezygnować z leczenia, ale nie mogę się na to zgodzić.

- Więc?

- Więc co?

- Mam propozycję. W ciągu dnia Hannah może przecież przebywać u nas. Hetty doskonale da sobie radę. Chłopcy chorowali już na ospę, więc nie widzę problemu.

Popatrzył na nią tak zdumionym wzrokiem, że omal się nie roześmiała. Jednocześnie było jej przykro. Marcus mógł poprosić ją o pomoc, a jednak tego nie zrobił. Sama musiała mu to zaproponować, a teraz czekała z zaciekawieniem na reakcję.

- Poważnie? - spytał wolno.

- Oczywiście. Ty byś się przecież sam do mnie nie zwrócił. Duma by ci na to nie pozwoliła, czy tak?

- Duma! O czym ty mówisz? Najpierw dziewczyna, którą uwielbiałem, potraktowała moje studia jak osobistego wroga, a potem ożeniłem się z kobietą, która z kolei wolała pracę niż dom. Nie widzę tu specjalnie powodów do dumy. Ale przyjmę z przyjemnością twoją propozycję. Naprawdę kamień spadł mi z serca.

- Co dolega twojej ciotce? - spytała Caroline, myśląc jednocześnie o tym, co przed chwilą usłyszała. Czyżby Kirstie nie wyszła za niego za mąż z miłości?

- Zanim tu przyjechaliśmy, wycięto jej pęcherzyk żółciowy, ale chyba nie wszystko udało się tak jak powinno. Wczoraj miała bardzo silne bóle i wysoką gorączkę. Dostała drgawek i chciałem nawet wezwać karetkę. Na jutro załatwiłem jej konsultację u specjalisty, ale on potrzebuje badań. Ciotka

ma oczywiście nadzieję, że nie będzie się musiała poddać operacji. Wiemy jednak oboje, że po takiej terapii występuje czasem nagromadzenie żółci. Stąd te dolegliwości.

Skinęła głową. Jeśli istotnie tak było, ciotka Marcusa mogła wkrótce wrócić do domu. Problem Hannah przestałby wówczas istnieć. Caroline jednak wcale się nie spieszyło.

Martwił ją jedynie fakt, że poprzez częste wizyty Marcus nawiąże jeszcze bliższy kontakt ze Stephanie.

- Mam w takim razie przywieźć Hannah do ciebie już po lunchu? - spytał.
- W drodze do szpitala?

- Oczywiście. Zatelefonuję do Hetty. I jeszcze jedno... Jeśli chcesz wiedzieć, to jesteś stanowczo zbyt dumny.

Powiedziawszy to, poszła do swojego gabinetu; przejęta sprawą Hannah zapomniała zapytać, czy patolog potwierdził jej domysły dotyczące zatrucia akonityną. Postanowiła, że to musi poczekać, choć paliła ją ciekawość. Gdyby jej koncepcja okazała się trafna, Marcus nie mógłby nad tym przejść do porządku dziennego, a wyraz uznania w jego oczach podziałałby jak balsam na jej zbolełą duszę.

Stanowczo wolałaby jednak wyrzucić na nim wrażenie jako kobieta i postanowiła sobie solennie, że dopnie swego.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdy przebijał się z truciem przez popołudniowe korki, jego myśli krążyły wokół trzech spraw. Po pierwsze: zostawił chorą córeczkę w obcym domu. Po drugie: ciocia Min musi iść do szpitala. I po trzecie: była narzeczona nie zawiodła go w potrzebie. Pierwsze dwa fakty były przygnębiające. Trzeci podnosił na duchu.

Rzeczywiście, w przeszłości Marcus nie bardzo mógł liczyć na lojalność Caroline. Sam jednak nie rozumiał, dlaczego wciąż jej o tym przypominał. Ona przecież też nie wydawała się szczęśliwa.

Myśląc o swoim nieudanym związku z Kirstie, często dochodził do wniosku, że być może ani on, ani Caroline nie byli stworzeni do małżeństwa. Choć jeśli tak, to dlaczego wciąż wyobrażał sobie, że...

Skreślił w ulicę, przy której mieszkała. Jej niebieskie volvo stało przed domem. Należało położyć kres fantazjom i stawić czoło rzeczywistości.

Hetty postawiła na stole dodatkowe nakrycie.

- Pomyślałam, że doktor Owen nie będzie musiał gotować, jeżeli zje z nami - wyjaśniła, widząc pytające spojrzenie Caroline.

Nie starczyło czasu na dyskusje, gdyż w tej samej chwili rozległ się dzwonek.

- Jak się czuje Hannah? - spytał Marcus od progu. Caroline naprawdę bardzo mu współczuła. Na pewno nie przestał myśleć o chorej córeczce przez cały dzień.

- Nie najlepiej. - Hetty pokręciła smutno głową. - Położyłam ją do łóżka. Największy problem stanowią chyba jednak migdałki, nie ospa.

Przytaknął ponuro głową.

- Pójdę do niej od razu, jeśli pozwolisz.

- Oczywiście. Ale może zostaniesz i zjesz z nami kolację?

Zatrzymał się w pół kroku.

- Umieram z głodu, ale nie musisz tego robić.

- Czego?

- Brać nas obojga pod swoje skrzydła - odparł z wymuszonym uśmiechem.

- Mówisz o ogromnym ptaku i jego pisklęciu? - zawołała, gdy szedł już na górę.

- Tego właśnie im obojgu brak - westchnęła Hetty, gdy Marcus zniknął z pola widzenia.

- Czego?

- Odrobiny rozpieszczania. Troski.

- Ojciec i ciotka otaczają Hannah czułą opieką - odparła wykrętnie Caroline.

- A co z nim? - nie ustępowała Hetty.

- Nie mam pojęcia.

W tej samej chwili do pokoju wpadli bliźniacy i wybawili ją z opresji. Nie mogła przecież powiedzieć Hetty, że była gotowa zapewnić Marcusowi wszystko, czego mu potrzeba, lecz jej oferta nie została przyjęta.

- Brała paracetamol? - spytał Marcus, gdy zszedł na dół.

- Oczywiście. 1 piła dużo płynów.

- To dobrze. Na pewno nie jest zdrowa, ale kolejne dwadzieścia cztery godziny powinny przynieść znaczącą poprawę. Właśnie zasnęła, więc poczekam, aż się obudzi i dopiero wtedy zabiorę ją do domu, jeśli ci to nie przeszkadza - dodał, odwracając się Mo Caroline.

- Nie ruszaj jej. Przecież może zostać na noc - odparła, napotkawszy wymowny wzrok Hetty.

Takie rozwiązanie było niewątpliwie najlepsze dla dziecka. Problem polegał jedynie na tym, że w nocy mała powinna mieć ojca przy sobie.

- Nie ma tu drugiego wolnego łóżka, ale jeśli chcesz, możesz spać na kanapie - dodała tak obojętnym tonem, jakby już od dawna nie marzyła o tym, by gościć Marcusa pod swym dachem.

W jego ciemnych oczach błysnęła niepewność. Czyżby się obawiał, że gospodyni zamierza go napastować?

Jeśli tak, to zupełnie niepotrzebnie. Duma wzięła górę nad pożądaniem; Caroline nie zamierzała już nigdy przejmować inicjatywy w ramionach żadnego mężczyzny.

- Chcę być przy Hannah, kiedy się obudzi - odparł zdecydowanym tonem.

- Dzieci zupełnie inaczej reagują na obcych w dzień niż w nocy. Tak więc albo muszę przerwać jej sen. albo przyjąć twoją propozycję. I chyba wybiorę to drugie. Po kolacji pojedę do domu po szczotkę do zębów, piżamę i czyste rzeczy dla Hannah.

- Oczywiście. Ja też powinnam jeszcze złożyć komuś wizytę.

- Pacjentowi?

- Nie, znajomemu.

- Wybierasz się pewnie do Johna?

- Tak, rzeczywiście - odparła ze zdziwieniem. - Skąd wiedziałeś?

- Bo się rumienisz.

- Ale nie z powodu Johna! - krzyknęła. - Denerwuję się, bo tak niechętnie przyjmujesz moją gošcinę.

- Skąd wiesz? - spytał, chwytając ją za rękę.

- Wiem co? Źe jesteś tu z przymusu? Wystarczy mi na ciebie popatrzeć.

- Więc sądzisz, że nie jestem ci wdzięczny za to, co dla nas robisz?

Wyrwała mu rękę z uścisku.

- Nic nie sądzę. I tak mi łatwiej żyć.

Z bliska widziała dokładnie srebrne pasma na jego skroniach i drobne zmarszczki wokół oczu. Zmarszczki te na pewno jednak nie odzwierciedlały stanu jego duszy.

Należał do najbardziej skrytych ludzi, jakich znała, choć nie zawsze był taki. Ona zresztą też bardzo się zmieniła. W niczym nie przypominała lekkomyślnej pannicy, która porzuciła Marcusa dla Jamiego Duranta.

- Szkoda, że Kirstie nie może zobaczyć, jak troskliwą opieką otaczasz jej dziecko - powiedział cicho.

Caroline na chwilę straciła oddech z wrażenia. Marcus, ten milczek Marcus, zrobił właśnie nieśmiałą aluzję do swojej przeszłości!

- Twoja żona była pewnie wyjątkową osobą... - wyjąkała.

- W pewnym sensie tak.

- To znaczy?

Czuła, że zadaje zbyt wiele pytań. Marcus mógł w każdej chwili znów zamknąć się w sobie, ale postanowiła skorzystać z okazji.

- Była cicha, spokojna i bardzo, bardzo samotna. Wróciłem właśnie z Europy. Kirstie nie stawiała właściwie żadnych wymagań. To nas do siebie zbliżyło.

- Mówisz tak, jakby nigdy nie łączyła was namiętność.

- A może ja nie chciałem takiego związku? Kto raz się sparzy...

- Wiem, wiem - warknęła. - Nie musisz mi bez przerwy o tym przypominać!.

- Kolacja na stole! - zawołała Hetty.

Na tym skończyła się ta rozmowa, krótkie spojrzenie w przeszłość Marcusa.

Sprawdzając, czy bliźniacy umyli ręce, Caroline myślała, że nie miała okazji zapytać, dlaczego ta wrażliwa Kirstie pracowała w szpitalu, gdzie zaraziła się śmiertelną chorobą, zamiast opiekować się dzieckiem.

I dlaczego - jak wspomniał już wcześniej - wyżej sobie ceniła pracę niż rodzinę? Czyżby z przyczyn finansowych? Nie, był chyba jakiś inny powód.

W tej samej chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi - to Stephanie wróciła do domu. Tym razem jednak Caroline wcale się nie cieszyła z powrotu siostry. I nie chciała patrzeć na jej radosne powitanie z Marcusem.

Kiedy wszyscy usiedli wreszcie przy stole, poczuła, jak ogarnia ją melancholia. Na widok Stephanie Marcus wyraźnie poweselał. A gdy dziewczyna zaczęła im opowiadać zabawne historyjki z college'u, kilka razy wybuchnął nawet śmiechem.. Chłopcy też świetnie się bawili. Wszyscy oprócz Caroline spędzili przyjemny wieczór.

Czując na sobie badawczy wzrok Marcusa, szybko odwróciła głowę. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że psuje innym nastrój.

Hetty podała jak zwykle znakomite potrawy, Hannah spała spokojnie na górze, a Marcus jadł kolację przy jej stole.

I właśnie dlatego odczuwała tak silnie to, czego jej brakowało. A brakowało jej stałej obecności mężczyzny. Nie jakiegokolwiek mężczyzny, ale tego jednego jedyne, który przyjechał tutaj chyba wyłącznie po to, by ją prześladować. Tego, który bawił się teraz znakomicie w towarzystwie Stephanie.

- Umówiłam się do kina z koleżanką ze szkoły, ale bardzo żałuję, że idę.

- Nie zmieniaj planów z mojego powodu - odparł z figlarnym uśmiechem Marcus. - Czeka mnie ciężki wieczór. Muszę pojechać po rzeczy, zajrzeć do ciotki, a potem opiekować się pewną małą dziewczynką. Caroline będzie również bardzo zajęta. Wybiera się w odwiedziny do Johna Lennox - dodał na widok zdziwionego spojrzenia Stephanie.

- Naprawdę? Dlaczego? - spytała Stephanie, patrząc z zaciekawieniem na siostrę.

- Bo to jego urodziny. Zaniosę mu prezent.

- Mogę cię wyręczyć, jadąc do kina.

- Nie, dziękuję. Pojadę sama.

Jeśli Marcus zamierzał się w tym czegoś doszukać - trudno. Miał do tego prawo.

Kiedy wreszcie wyszedł, Caroline pojechała do starego, zniszczonego domu, w którym John mieszkał z ojcem. Przez cały czas zastanawiała się nad tym, czy jej przyjaźń z Johnem przerodziłaby się w przyszłości w coś głębszego, gdyby nie zjawił się Marcus.

Uznała to jednak za mało prawdopodobne. John był dobrym lekarzem i wspaniałym przyjacielem, ale nie budził w niej pożądania.

Kiedy dotarła na miejsce, okazało się, że solenizant wyszedł. Pomyślała, że w tej sytuacji mogła równie dobrze prosić o pomoc Stephanie, a w końcu zostawiła prezent Lennoxowi seniorowi.

Po powrocie spytała Marcusa o zdrowie ciotki.

- Znosi cierpliwie wszystkie badania i jednocześnie martwi się o Hannah. Bardzo się ucieszyła, że mała jest tutaj.

- Więc aprobuje naszą umowę?

- Oczywiście. Dlaczego nie?

Stephanie wróciła do domu o północy. Caroline usłyszała zgrzyt przekręcanej klucza i przypomniała sobie natychmiast o Marcusie śpiącym na kanapie w salonie.

Jej młodsza siostra należała do pokolenia, które nie owija niczego w bawełnę. Gdyby naprawdę pragnęła Marcusa, z pewnością nie zaczęłaby udawać przerażonej dziewczicy.

Wkrótce potem Caroline usłyszała brzęk naczyń i szepty. Wściekła i rozżalona wtuliła głowę w poduszkę, żałując, że Stephanie w ogóle do niej przyjechała. W tej samej chwili pomyślała też ponuro, że do tanga trzeba dwojga.

Hannah spała bardzo niespokojnie i Marcus chodził na górę dwukrotnie w ciągu nocy. Za każdym razem Caroline chciała go zapytać, czy nie potrzebuje pomocy, lecz w końcu zrezygnowała z tego pomysłu. Marcus jest przecież lekarzem i ojcem dziewczynki. Nie życzyłby sobie na pewno, by ktokolwiek się wtrącał w jego sprawy.

Za trzecim razem jednak nie wytrzymała. W końcu Hannah i Marcus są gośćmi w jej domu. Musi im okazać zainteresowanie.

Zapukała więc delikatnie do pokoju dziewczynki. Marcus spał na krześle stojącym obok łóżka. Najwyraźniej nie wrócił na kanapę po swojej ostatniej wizycie u córki, ale był tak zmęczony, że nie słyszał jej płaczu.

Caroline wyciągnęła rękę, a dziecko natychmiast się do niej przytuliło. Gdy wyjmowała małą z łóżeczka, poruszył się lekko przez sen. Z zarostem na policzkach, potarganymi włosami i ręką przerzuconą przez oparcie krzesła w niczym nie przypominał energicznego fachowca, którego spotykała codziennie w pracy.

- Pocałuj tatusia - szepnęła do malej.

Hannah od razu przestała płakać, schyliła główkę i cmoknęła ojca w czoło. Caroline, widząc to, nie potrafiła się oprzeć pokusie i przed wyjściem z pokoju też pocałowała Marcusa na dobranoc.

Na dole podała dziewczynce herbatnika i szklankę mleka, a potem zaniósła ją do własnego łóżka. Mała zasnęła prawie natychmiast, ssąc z zapamiętaniem kciuk lewej rączki.

Patrząc na długie rzęsy Hannah rzucające cień na jej policzki, Caroline zaczęła się zastanawiać, czy Kirstie patrzy na nie z nieba i czy aprobeuje taki stan rzeczy.

Liam i Luke przychodzili co rano na pieszcoty do sypialni matki, ale tego dnia stanęli w progu jak wryci.

- Wszystko w porządku - szepnęła Caroline. - Jakoś się pomieścimy, ale nie rozrabiajcie, bo obudzicie Hannah.

Dochodziła szósta, lecz ptaki zaczynały już poranny koncert, a słońce rzucało swe promienie na sufit. Hannah spała, chłopcy leżeli cicho obok i szeptali.

Caroline doszła właśnie do wniosku, że Marcus pewnie się zastanawia, gdzie przepadło jego dziecko, i postanowiła pójść na górę, by go o tym poinformować, ale w tej samej chwili usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała.

Marcus objął szybko wzrokiem całą scenę. Wiedziała, że jej włosy przypominają zmierzwioną szopę, a szlafrok jest bardzo cienki. Na szczęście zasłaniały ją dzieci.

- Chcesz, żebym dostał ataku serca? - spytał ze zmęczonym uśmiechem. - Kiedy się obudziłem, Hannah nie było w łóżku.

- To prawda - odparta spokojnie. - Usłyszałam w nocy jej płacz i poszłam sprawdzić, co się dzieje. Spałeś jak zabity.

- Rozumiem.

Mówił jej wyraźnie wzrokiem, że zwróci! uwagę na jej cieniutki szlafroczek. Przez jedną krótką chwilę patrzy! na nią z tęsknotą i pożądaniem.

- Z tymi ttzema brzdącami jesteś zupełnie bezpieczna - mruknął, jakby czytał w jej myślach.

- A gdyby ich nie było? Jak byś się zachował? Pewnie znowu próbowałbyś mi pokazać, gdzie jest moje miejsce

- powiedziała prowokująco, lecz spokojnie, tak jakby obecność tego mężczyzny w jej sypialni nie wywarła na niej najmniejszego wrażenia.

- Musisz się sama domyślić - odrzekł równie chłodno.

- Mam zabrać Hannah, żebyś mogła się ubrać?

- A tego właśnie chcesz? Wzniósł oczy do nieba.

- Oczywiście, że nie. Nie jestem z żelaza.

- Czasem jednak tak mi się wydaje.

Liam i Lukę patrzyli na nią ze zdziwieniem. Caroline mówiła zupełnie innym tonem niż zwykle, a Marcus przestał się uśmiechać.

- Co się stało, mamusiu? - spytał niespokojnie Luke.

- Nic, kochanie - odparła, biorąc go w ramiona. - Doktor Owen i ja mamy po prostu inne zdanie na różne tematy.

- Na jakie tematy?

Marcus pochylał się właśnie nad Hannah. W jego oczach też kryło się pytanie, jeszcze bardziej natarczywe niż indagacje bliźniaków.

- Zycie, miłość - odparła, gładząc włosy chłopca. Wyszli wprawdzie z domu o tej samej porze, ale wsiedli do dwóch różnych samochodów. Marcus jechał prosto do przychodni, a Caroline musiała po drodze odwiedzić chłopców do szkoły.

Przestała fantazjować na temat Stephanie i Marcusa, a jej samopoczucie znacznie się poprawiło. Może głównie dlatego, że siostra nie pojawiła się na śniadaniu?

Ranek upłynął jak zwykle na pospiesznych przygotowaniach do wyjścia. Obecność Marcusa i rozkapryszonej Hannah nie ułatwiała sprawy. Było jednak przy okazji bardzo miło - dzieci przyjęły tę nową sytuację z rozbawieniem, a dorośli wreszcie przestali się kłócić.

Hetty wyszła z kuchni i zerknęła na nich kilkakrotnie z korytarza. Caroline była pewna, że pocziwa gosposia już się zastanawia nad fasonem jej sukni ślubnej.

Niemniej jednak zabawa w rodzinę nie równa się jeszcze weselu. A już Marcus na pewno nawet o tym nie myślał. Caroline dałaby wiele, by dowiedzieć się czegoś więcej na temat jego małżeństwa z Kirstie.

Pierwszą osobą, którą spotkała, wchodząc do przychodni, był John Lennox, który niewątpliwie chciał jej podziękować za prezent i znalazł czas, by uczynić to osobiście. Gdy wskazała mu drogę do gabinetu, John pochylił głowę i musnął wargami jej policzek.

- Dziękuję ci bardzo za ten golf - powiedział, przytulając ją do siebie. - Tak mi przykro, że mnie nie zastałaś. Wezwano mnie do nagłego wypadku i wróciłem dość późno.

Była jeszcze w jego objęciach, gdy usłyszała chłodny, ostry głos Marcusa:

- Przepraszam, że przeszkadzam, doktor Croft. ale jedna z ciężarnych pacjentek potrzebuje natychmiastowej pomocy.

- Ja i tak muszę już uciekać - odezwał się John. - Obowiązki wzywają. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję, Caroline. Musimy się wkrótce spotkać.

- Z przyjemnością - odparła z promiennym uśmiechem. Marcus próbował w niej wzbudzić poczucie winy, a ona nie zamierzała na to pozwolić.

- Świetnie. Będziemy w kontakcie.

Gdy tylko John ruszył do wyjścia, spojrzała gniewnie na Marcusa.

- Chyba trochę przesadzasz! Cóż takiego dolega tej ciężarnej? Nie mogłeś sam jej zbadać, skoro widziałeś, że jestem zajęta?

- Pytała o ciebie. Zajęta, dobre sobie! Czulisz się z narzeczonym przed gabinetem, a pacjenci czekają. W końcu to ty jesteś odpowiedzialna za poradnię prenatalną.

Poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Co się z nim dzieje? Chyba nie jest zazdrosny? Mówiła mu przecież, że John to tylko przyjaciel, ale z drugiej strony... Marcus ma rację. Pacjentki naprawdę czekają i musi się nimi zająć. Nie zamierzała jednak przejść do porządku dziennego nad tym, co zaszło.

- Zmieniasz nastrój częściej niż koszule - powiedziała ostro. - Dziś rano przy śniadaniu myślałam, że wreszcie zapanowała między nami zgoda, ale teraz widzę, że się myliłam! - dodała głośno i przemknęła obok niego jak burza, zmierzając w stronę poczekalni, gdzie siedziało przynajmniej pół tuzina ciężarnych.

Gdy się tam znalazła, dostrzegła natychmiast, że Marcus nie przesadzał. Jedna z przyszłych matek wiała się z bólu, a Heather Sloane usiłowała ją uspokoić.

Caroline nigdy nie zapomniała o tym, że Valerie, naturalna matka Liama i Luke'a, zmarła na rzucawkę porodową: ryzyko wystąpienia tej choroby istniało zawsze w późnych miesiącach ciąży. Badając Alice McCoy, Caroline obawiała się poważnie, iż także w tym przypadku stwierdzi objawy rzucawki.

I niestety, nie myliła się. Postać choroby nie zagrażała wprawdzie życiu, lecz było to przedrzucawkowe zatrucie ciążowe. Bóle w dole brzucha, drgawki, zaburzenia wzroku, silne bóle głowy - wszystko to napawało przerażeniem młodą kobietę, oczekującą pierwszego dziecka.

- Przyjechałaś tu samochodem? - spytała Caroline po skończeniu badania.

- Nie, nie mamy auta - odparła Alice ze łzami w oczach.

- I tak nie mogłabyś prowadzić. Zadzwońię po karetkę. Zabiorą cię na oddział położniczy do szpitala Świętego Ksawerego.

- To coś poważnego, prawda?

- Niestety tak, ale uchwyciliśmy chorobę na czas. Kiedy wystąpiły pierwsze objawy?

- Na początku tygodnia. Najpierw myślałam, że to zatrucie, ale kiedy pogorszył mi się wzrok i dostałam drgawek, naprawdę się przestraszyłam. Wiedziałam, że pani ma dzisiaj dyżur, więc postanowiłam przyjechać.

- Bardzo dobrze zrobiłaś.

- Co mnie czeka? - spytała lękliwie Alice.

- Odpoczynek w łóżku i leki na obniżenie ciśnienia.

- Tylko tyle? - spytała z ulgą dziewczyna.

- Na razie tak. Wszystko będzie zależało od tego, jak szybko zareagujesz na leczenie. Lekarze ze szpitala będą robili wszystko, żeby nie dopuścić do eklampsji. Sądzę, że przyjechałaś w samą porę i nic złego się już nie wydarzy.

Kiedy Alice znalazła się już w karetce, wśród ciężarnych zapanował ponury nastrój. Choć żadnej z nich nic nie dolegało, nerwowa atmosfera utrzymała się do końca dyżuru.

- Chyba wszystkie pomyślały, że to mogła być któraś z nich - stwierdziła Heather, kiedy za ostatnią pacjentką zamknęły się drzwi.

Caroline, która wciąż myślała o Valerie, skinęła tylko ponuro głową.

Po spotkaniu z Johnem i kłótni z Marcusem nie wchodziła do swego pokoju. Poszła tam dopiero po lunchu i stanęła w progu jak wryta. Na biurku stał olbrzymi bukiet składający się z lilii, blad różowych róż i białych goździków. Pomyślała, że zapewne zostawił go John, ale charakter pisma na bileciku nie przypominał jego bazgrołów.

„Dzięki za wszystko, jestem ci bardzo zobowiązany, Marcus” - przeczytała ze zdumieniem.

Widocznie zaszedł do kwaciarni w drodze do pracy. Kwiaty były piękne, starannie wybrane, ale ten bilecik... Krótki, rzeczowy, całkowicie wycyuty z romantyzmu.

Mogła się oczywiście oszukiwać i udawać, że zamiast „jestem ci bardzo zobowiązany” widzi na kartoniku „kocham cię”, lecz kto dałby się w ten sposób oszukać?

Dobre wychowanie nakazywało jednak podziękować za kwiaty i dlatego przed wyjściem na lunch Caroline zapukała do pokoju Marcusa. Ponieważ nikt jej nie odpowiedział, weszła do środka.

Na biurku leżała kartka o następującej treści: „Wyszedłem odwiedzić Hannah, zaraz wracam”.

Natychmiast złagodniała i przebaczyła mu poranną kłótnię. Marcus wybiegł zobaczyć się z dzieckiem, nie jedząc nawet lunchu, a rano przed pracą zdążył jej kupić bukiet kwiatów. Jest naprawdę niezwykłym mężczyzną! Szkoda, że nie należy do niej!

- Dziękuję ci bardzo za kwiaty - powiedziała cicho, gdy Marcus wpadł do przychodni tuż przed końcem przerwy. - Pamiętałeś, że kocham lilie?

- Oczywiście. Niezwykły kwiat dla niezwykłej kobiety. Oblała się rumieńcem i pomyślała, że zachowuje się jak zakochana nastolatka. Ale Marcus tak rzadko mówił jej coś miłego, że komplement wzbudził w niej zakłopotanie.

Należało szybko zmienić temat.

- Jak się czuje Hannah? - spytała.

- O wiele lepiej - odparł, nie przestając się uśmiechać.

- Zjadła lunch, a Hetty zdążyła wmusić kanapkę również we mnie. Ta kobieta to prawdziwy skarb.

- To prawda - zgodziła się Caroline. - Bez niej nie dałabym sobie rady.

- Tak jak ja bez cioci Min - skonstatował ponuro. - A ona zaczyna się starzeć i choć bardzo lubi opiekować się Hannah, nadmiar obowiązków zaczynają męczyć. Chyba już czas na inne rozwiązania.

- To znaczy? - spytała szybko, boleśnie świadoma tego, że interesuje ją właściwie każdy aspekt życia Marcusa.

- Nie wiem. Po prostu stwierdzam fakt - odparł.

W chwilę później każde z nich poszło w swoją stronę - ona udała się do poradni kardiologicznej, a on wyjechał do pacjenta.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marcus i Hannah zostali u niej przez trzy dni. Mogli wrócić do siebie wcześniej, gdyż dziewczynka czuła się znacznie lepiej, ale nikt jakoś nie poruszał tego tematu.

Caroline na pewno nie zależało na pośpiechu, a Hetty marzyła wyłącznie o tym, by ta dwójka zamieszkała z nimi na stałe. Luke i Liam z pewnością również nie mieliby nic przeciwko temu. Najwyraźniej potrzebowali towarzystwa mężczyzny.

Caroline zaczęła się obawiać, że bliźniacy przywiążą się za bardzo do Marcusa. Czy powinna go przestrzec, by nie zacieśniał przyjaźni z chłopcami? A może należy pozwolić, by malcy cieszyli się obecnością mężczyzny w ich życiu, dopóki istnieje taka sposobność?

Wszelkie jej wątpliwości i wahania zeszły jednak na dalszy plan trzeciego dnia przy śniadaniu.

- Już za długo nadużywamy twojej gościnności - oświadczy! Marcus. - Dziś wieczorem wracamy do domu. Hannah czuje się o wiele lepiej, a ciocia Min wychodzi ze szpitala. Badania wykazały zalegający kamień żółciowy, który powodował złe samopoczucie.

- Nie musicie się śpieszyć - odparła. Krótka rodzinna sielanka miała się już wkrótce zakończyć, a Caroline nie mogła się z tym pogodzić. - Ale zrobisz oczywiście to, co uznasz za słuszne.

W ciemnym garniturze i świeżo wyprasowanej koszuli Marcus wyglądał tak wspaniale, że miała przez chwilę ochotę zrezygnować z pracy i wyjechać z nim za miasto. Mogliby zapomnieć o chorych i cierpiących, zjeść lunch w przydrożnym pubie i powłóczyć się nad rzeką.

- Właśnie. Uważam, że nie ma wyjścia. Hannah i ja przyzwyczailibyśmy się za bardzo do ciebie i chłopców. Musimy wrócić do dawnego życia.

Cieszyła się, że Marcus docenia jej towarzystwo, lecz w jego wypowiedzi kryło się też coś ostatecznego, tak jakby koncepcja innego rozwiązania problemów rodzinnych nigdy się nawet nie zrodziła w jego głowie. Marcus lubił jednak robić niespodzianki i czasem czytał w jej myślach.

- Nie zapomnij, że obiecaliśmy sobie dzień nad morzem. Mamy na co czekać.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem. Sama wprawdzie przedstawiła mu tę propozycję, ale z drugiej strony, dzięki takiej wycieczce spędziliby z sobą

kolejny miły dzień, ona i chłopcy zbliżyliby się do Marcusa jeszcze bardziej, i właściwie po co?

Wyczuł jej wahanie.

- Coś nie gra? Masz nas dość jak na jeden tydzień?

- Ależ nie! - zaprotestowała. - Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę, żeby chłopcy za bardzo cię polubili. Potem, gdybyś zniknął z ich życia, trudno by im było się do tego przyzwyczaić.

- Rozumiem. Więc uważasz, że role się odwróciły. Teraz niby ja miałbym uciec w najbardziej nieoczekiwanym momencie?

- Przecież wiesz, o co mi chodzi - odparta z westchnieniem. - I, bardzo proszę, przestań mi wreszcie wytykać przeszłość. Jesteśmy zupełnie innymi ludźmi. Co się stało, to się nie odstanie. To stara historia.

- Tak, ale jak wiemy, historia lubi się powtarzać.

- W jakim sensie? - spytała szeptem.

Zrobił krok w jej stronę i bez słowa wziął ją w ramiona. Zapach Marcusa uderzył jej do głowy jak mocne wino. Modliła się, by los dał jej drugą szansę, za którą tak tęskniła.

Gdy stali spleceni w uścisku, z ogrodu dobiegł do niej głos Hannah i chłopców. Marcus też usłyszał pokrzykiwania i niechętnie odsunął ją od siebie.

- Obowiązki wzywają - rzekł z cierpkim uśmiechem. - Dają o sobie znać pod postacią dzieci, przychodni, policji i jeszcze...

- Wielu innych rzeczy - odpowiedziała, poprawiając bluzkę. - Ale najpierw chcę wiedzieć, co miałeś na myśli, mówiąc o historii, która lubi się powtarzać: ten nagły wybuch uczucia, czy coś innego..

- Różne rzeczy. Pociągasz mnie. Zawsze tak było, i to się nie zmieni. Ale do stworzenia związku nie wystarczy seks.

- Nie znoszę takich protekcjonalnych uwag - zaczęła, ale nie pozwolił jej dokończyć.

- Wiem, że John Lennox stanowi ważną część twojego życia. Z tego, co widziałem, wnoszę, że łączy was wielka zażyłość.

- Na miłość boską! Myślisz, że z nim ucieknę? Tak jak to było z Jamiem? W takim razie dlaczego nie zapanujesz nad własnym ciałem? Ależ ty masz tupet!

- Idziemy dziś do szkoły? - spytał Luke, stając w drzwiach prowadzących do ogrodu.

Caroline popatrzyła na niego nieprzytomnie, ale w końcu zdobyła się na uśmiech.

- Oczywiście, że tak. Pożegnaj się z Hannah i ruszamy. Nie odwracając się już do Marcusa, porwała torebkę i poszła z bliźniakami do samochodu.

Caroline nie pozwalała na to, by jej życie osobiste miało wpływ na pracę. Tego ranka też postanowiła się skupić na pacjentach i zapewne dopięłaby swego, gdyby Marcus nie stanął w drzwiach jej gabinetu w kilka chwil po rozpoczęciu pracy.

- Pracownicy opieki społecznej wypyują o dziecko, które badałaś wczoraj po południu.

Zmarszczyła brwi. Marcus najwyraźniej dotarł do pracy wcześniej.

- I?

- Twierdzą, że jeszcze to sprawdzą, ale dziecka nie ma w grupie zagrożonych.

- Więc?

- Jesteś pewna, że te ranki, które widziałaś, to ślady po oparzeniach papierosem?

- Oczywiście, że nie! - odparła urażona. - Dziecko było jednak bardzo zaniedbane, matka też. W takich rodzinach często dochodzi do agresji.

- W lepszych domach również - powiedział Marcus. - Stresy wynikają zarówno z wysokiego standardu życia, jak i z ubóstwa.

- Dzięki za wykład - odparła lodowato. - Teraz jednak, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wołałabym zacząć dyżur.

- Może to po prostu liszaje... - nie ustępował.

- Niewykluczone. Jeśli zajrzysz do karty, zobaczysz, że wysłałam chłopca na badania do przychodni dermatologicznej. A opiekę społeczną zawiadomiłam z dwóch powodów: pierwszy to te ślady na skórze, a drugi to siniaki. Siniaki też trzeba jakoś wyjaśnić.

- Rozumiem. Nie musisz się tak denerwować - rzucił na odchodnym. - Ja zasięgałem twojej rady w sprawie zatrucia, więc sądziłem, że ty też czasem konsultujesz diagnozy z kolegami.

- Owszem - odparła, oblewając się rumieńcem. - Czasem jednak wałabym, żebyś dla odmiany okazał mi trochę zaufania.

- Widziałem wiele rodzin nękaną zupełnie niepotrzebnie przez opiekę społeczną - powiedział poważnie. - Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to piekło.

Miał rację. Caroline sama знаła matkę posądzoną o przypalanie dziecka papierosem, podczas gdy podejrzaną obrażenia spowodowała śruba od deskorolki.

- Są też dzieci, które potrzebują naszej interwencji - dodała łagodniej. - W razie wątpliwości musimy działać na ich korzyść, nie sądzisz?

- Owszem, ale wiem, że problemy związane z maltretowaniem dzieci to prawdziwe pole minowe dla ofiary, lekarzy i opieki społecznej.

- W takim razie po co się kłócić? - spytała z lekkim uśmiechem. - Może tak bardzo się od siebie różnimy, że nie potrafilibyśmy żyć bez sporów?

- Kiedy mieszkaliśmy pod jednym dachem, potrafiliśmy unikać konfliktów - przypomniał jej. - Z drugiej strony lepiej prowadzić ożywione dyskusje niż zachowywać zimną obojętność, nie sądzisz? - Powiedziawszy to, wyszedł z gabinetu, pozostawiając ją z własnymi myślami.

Tego popołudnia Caroline przyjmowała starszą panią, którą leczyła sterydami.

- Proszę się zgłosić na szczepienie przeciwko grypie - poprosiła na zakończenie wizyty.

- Przecież jeszcze nie skończyło się lato. - Kobieta popatrzyła na nią z powątpiewaniem. - Czy muszę decydować w tej chwili?

- Oczywiście, że nie - odparta cierpliwie Caroline. - Wystarczy, że zaszczepi się pani dopiero w październiku. Przy takim sposobie leczenia jest pani jednak bardziej podatna na różne infekcje. Proszę poprosić pielęgniarkę o szczepionkę przeciwko zapaleniu płuc. Ta jest ważna do końca życia, podczas gdy szczepienia przeciwko grypie muszą być powtarzane co rok.

Po pacjentce cierpiącej na ból wielomięśniowy Caroline przyjęta sześciolatek chłopca, któremu już od kilku tygodni dokuczał uciążliwy kaszel. Zbadła go więc jeszcze raz i powiedziała zatroskanej matce, że podejrzewa łagodną postać astmy.

- Ma nową nauczycielkę i jakoś nie potrafi dojść z nią do porozumienia. Może to astma na tle nerwowym?

- Niewykluczone, choć zapewne raczej konsekwencja infekcji. Przepiszę mu inhalator.

Chłopiec wygiął właśnie usta w podkówkę, jakby zamierzał się rozpląkać, ale sytuację uratowała starsza siostra, która towarzyszyła im w czasie wizyty.

- Ale super! - zawołała, a obie panie z trudem powstrzymały uśmiech.

- Czy Hannah naprawdę nie mogłaby jeszcze zostać? - pytał błagalnie Luke, patrząc, jak Marcus pakuje rzeczy.

- Też bym wolała... - szepnęła dziewczynka przez łyzy.

- Nie chcemy, żeby oni szli do domu - poparł ich Liam. Caroline westchnęła ciężko. Ona również zupełnie sobie tego nie życzyła, choć nie mogła nikomu wyjawiać swych uczuć.

- Czy twoja ciotka da sobie radę z Hannah, jeśli wezwie cię jutro policja? - spytała tylko. - Mówiłeś, że w sobotnie wieczory miewasz dużo pracy.

- Owszem, ale ciocia twierdzi, że czuje się świetnie i nie chce, żebym przez nią odwoływał dyżur. - Zmarszczył lekko brwi. - Fakt jednak pozostaje faktem. Przez nas nie może żyć własnym życiem.

- Bardzo kocha małą - zaprotestowała Caroline.

- Oczywiście, ale jeśli mam tu zostać, muszę wiele zmienić.

- Przecież wróciłeś po to, żeby Hannah odnalazła tu swoje korzenie. Tak przynajmniej zrozumiałam.

- Owszem, częściowo z tego powodu.

- I znów myślisz o przeprowadzce? To nie fair! Twoja córka potrzebuje spokojnego domu. Nie można jej tak przerzucać z miejsca na miejsce.

- Niełatwo zapewnić dziecku stabilność, gdy sieje samotnie wychowuje.

- Mnie się to udało. Dlaczego ty nie spróbujesz? - krzyknęła, przerażona, że Marcus może znów zniknąć z jej życia. - Jeśli masz wyrzuty sumienia w stosunku do ciotki, dlaczego się nie ożenisz?

- Zgłaszasz swoją kandydaturę? - zapyta! spokojnie. Gniew ustąpił miejsca zdumieniu. Czyżby ona na pewno dobrze słyszała?

- A prosisz mnie o rękę?

- Niewykluczone.

Opadła bezwładnie na pobliskie krzesło. Marzyła wielokrotnie o takiej chwili, lecz Marcus złożył jej tę ofertę w taki sposób, jakby rzucał ogryzioną kość zgłodniałemu psu.

- Chciałbyś mnie wykorzystać - syknęła. Dostrzegła, że Marcus lekko poczerwieniał.

- Oboje mielibyśmy pewien wkład w to małżeństwo. Luke i Liam zyskaliby ojca, a Hannah matkę i w dodatku przyzwoity dom.

- Nie wierzę własnym uszom! - jęknęła.

Ani słowa o miłości. Ani też o jakimkolwiek innym uczuciu! Marcus proponował układ handlowy, poprzez który ona niczego nie zyskiwała. Dzieci - owszem, choć też niezupełnie, gdyż ojciec nie kochałby matki.

- Zastanów się nad tym - rzucił obojętnie i gdyby nie dostrzegła, jak mocno zacisnął dłoń na uchwycie walizki, mogłaby pomyśleć, że ta dyskusja

znaczyła dla niego tyle co wybór menu na lunch. - Dopóki mi nie odpowiesz, nie podejmę żadnej decyzji. - Z tymi słowami wyszedł przed dom, by schować rzeczy do bagażnika.

Ona jednak nie potrzebowała czasu do namysłu. Już raz wyszła za męża bez miłości i nie zamierzała popełnić powtórnie tego samego błędu. Jak on śmiał ją prosić o coś podobnego! Przez niego poczuła się tania i nic nie warta; tak jakby była zwykłą gliną w jego rękach, łatwą do modelowania w dowolny sposób.

Hetty i chłopcy wyszli na ganek, aby pomachać im na do widzenia, a Marcus przypinał Hannah pasami do fotelika, więc nie mogła mu teraz wykrzyknąć, co sądzi o jego propozycji. Na wszystko jednak przychodzi pora. Marcus też. prędzej czy później, musiał poznać jej zdanie na swój temat.

Wysiadając z auta przed komisariatem, czuł wyraźnie gorączkę sobotniej nocy. Z barów i kafejek dochodziła głośnie muzyka, z kin wysypywali się widzowie, zdążający na przystanki autobusowe lub do restauracji zjedzeniem na wynos, pod klubami stały kolejki amatorów zabawy.

Takie wieczory miały jednak też cienie i tu zaczynała się rola Marcusa. Tym razem musiał zbadać mężczyznę aresztowanego za zniszczenie witryny sklepowej.

Podczas zatrzymania mężczyzna zachowywał się niezwykle agresywnie, ponadto w czasie rozbijania szyby doznał lekkich obrażeń ciała. Zadaniem Marcusa było stwierdzenie, że mężczyznę można zatrzymać w areszcie, a następnie przesłuchać.

Oglądał najpierw aresztanta przez lustro weneckie. Zatrzymany kręcił się przez chwilę niespokojnie po celi, a potem zaczął wściekle walić pięściami w szybę.

- Całe popołudnie spędził w pubie. Przedtem nie udało mu się uzyskać zwrotu pieniędzy za nieudany zakup - wyjaśnił jeden z policjantów.

Marcus obserwował mężczyznę z troską. Cała odpowiedzialność za jego zdrowie - zarówno psychiczne, jak i fizyczne - spoczywała na lekarzu policyjnym.

Zatrzymani przewożeni na komisariat znajdowali się często pod wpływem alkoholu lub narkotyków i byli absolutnie bezbronni wobec przedstawicieli prawa. Marcus szanował bardzo policję za staranność, z jaką wykonywała swoje obowiązki, lecz sam musiał się troszczyć o tych, którzy znaleźli się po nieodpowiedniej stronie barykady. Wszedł zatem do celi.

- Jestem lekarzem - powiedział do pijanego człowieka, wyładowującego swój żal do świata na lustrze weneckim. - Przyszedłem pana zbadać.

Awanturnik znieruchomiał ze zdziwienia na widok nie umundurowanego mężczyzny.

- Nie potrzebuję lekarza. Chcę dostać z powrotem pieniądze.

- Przebrał miarkę - powiedział Marcus do policjanta. - Opatrzę mu obrażenia, a potem niech się trochę prześpi, ale nie spuszczać go z oka. Może się zachłysnąć własnymi wymiocinami.

- Biedaczysko - westchnął policjant. - Mieszka niedaleko mnie. Jego żona choruje na stwardnienie rozsiane. Jeździ na wózku, a on się nią opiekuje. W domu robi absolutnie wszystko. Właściciel sklepu zeznał, że Harry kupił u niego toster, ale potem przyszedł z reklamacją. Sklepikarz nie oddał mu jednak pieniędzy, bo toster był uszkodzony mechanicznie. Pewnie spadł. No i Harry dostał szału.

Marcus zmarszczył brwi. Wyłonił się dodatkowy problem. Chora kobieta pozostaje całe popołudnie bez opieki, gdyż jej mąż pije. Należy o tym zawiadomić opiekę społeczną.

A to był dopiero początek wezwań. Sobotnia gorączka sięgnęła szczytu i Marcus nie miał przez całą noc ani chwili wytchnienia.

Praca wymagała pełnego zaangażowania, ale w krótkich chwilach przerwy myślał o trójce cudownych dzieci śpiących teraz w bezpiecznych domach pod opieką kochających kobiet. Wdzięczny losowi choć za to, gotów był zapomnieć o własnych nie spełnionych marzeniach.

Telefon zadzwonił w sobotę późnym wieczorem.

- Dzwonię, żeby pani podziękować za opiekę nad Hannah - powiedziała ciepło Minette Townsend. - Dzięki temu mogłam się nie denerwować, leżąc w szpitalu. Marcus jest cudownym ojcem, ale ma wiele obowiązków i bardzo bym chciała mu we wszystkim ulżyć. W tym przypadku jednak pani pomoc okazała się wręcz nieodzowna.

Caroline uśmiechnęła się do słuchawki. Podobała się jej ta miła, uprzejma kobieta, która poświęciła własne życie swemu siostrzeńcowi i jego małej córeczce. W tej samej chwili zrozumiała, co Marcus miał na myśli, mówiąc, że musi wreszcie uwolnić ciotkę od zobowiązań.

A to z kolei mógłby osiągnąć tylko dzięki małżeństwu z Caroline.

Czyżby jednak naprawdę złożył jej tę propozycję wyłącznie z takiego powodu? Bardzo chciałaby to wiedzieć.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła. - Liam i Lukę wręcz uwielbiają towarzystwo Hannah, a Hetty starała się dogadzać Marcusowi, jak tylko potrafiła. Nawet moja siostra, która przyjechała do mnie z wizytą, bardzo się z nim zaprzyjaźniła.

- Tak, tak, wiem - odparła ciotka. - To ta blondynka, którą Marcus podwiózł właśnie do miasta. Odwiedziła nas po południu, ale potem on dostał wezwanie, więc...

Caroline oniemiała ze zdziwienia. A więc Stephanie odwiedziła Marcusa pierwszego dnia po jego powrocie do domu. A może on sam ją zaprosił? Ciekawe, jaką zrobi minę, gdy się dowie o oświadczeniach? I o tym, że Caroline zamierza je przyjąć...

Od chwili, gdy Marcus złożył jej tę propozycję, minęły dwadzieścia cztery godziny. Miała zatem czas, by wszystko dokładnie przemyśleć. Ileż to razy słyszała opinię, że lepiej oprzeć małżeństwo na przyjaźni niż na seksie? Czy jednak między nią a Marcusem rzeczywiście istniała przyjaźń?

Ich stosunki układały się poprawnie jedynie wówczas, gdy przebywali w towarzystwie dzieci. Pozostawieni samym sobie, zawsze się kłócili.

Napięcie seksualne niewątpliwie istniało, ale zniknęło równie gwałtownie, jak się pojawiało. Najważniejsze było jednak to, że jeśli pragnęła Marcusa - mogła go mieć, mogła stać się częścią jego życia. Wolą zatem wyjść za niego za mąż na jego warunkach, niż w ogóle zrezygnować z małżeństwa.

Wstała przed szóstą, umyła się, ubrała, zjadła śniadanie, a potem spacerowała chwilę po ogrodzie. W końcu, gdy udało się jej wreszcie odzyskać jasność myślenia, sięgnęła po słuchawkę. Nigdy by się nie odważyła niepokoić Marcusa o takiej porze, ale jeśli istnieje szansa, że zastanie go jeszcze na policji, zamierzała ją wykorzystać.

Teraz, gdy podjęła już decyzję, chciała mu ją natychmiast przekazać. Zapewne głównie dlatego, by nie zmienić zdania.

- Tak, doktor Marcus jeszcze nie wyszedł - usłyszała po drugiej stronie słuchawki. - Ma za sobą pracowitą noc, ale chyba za pół godziny skończy dyżur.

Gdy wyprowadzała auto z garażu, przed dom wyszła Hetty, poprosiła ją więc, by zrobiła chłopcom śniadanie. Ze Stephanie nie miała okazji o tej porze rozmawiać, ale to było zupełnie naturalne. W niedzielę siostra rzadko wstawiała przed lunchem. Caroline zamierzała ją zapytać o tajemniczą wizytę u Marcusa, lecz w końcu zrezygnowała z tego pomysłu. Stephanie jest dorosła, niezależna i ma prawo do własnego życia.

Widok samochodu Caroline pod komisariatem bardzo Marcusa ucieszył i jednocześnie zaniepokoił.

- Co się stało? - spytał, podchodząc do niej szybkim krokiem. - Z dziećmi wszystko w porządku?

- Tak, tak - odparła szybko. - Nie denerwuj się. Wstałam po prostu wcześniej i pomyślałam, że wyjdę ci na spotkanie.

- Skąd wiedziałaś, że mnie tu zastaniesz?

- Wczoraj wieczorem zadzwoniła twoja ciotka, żeby mi podziękować za opiekę nad Hannah. Przy okazji powiedziała mi o wezwaniu. Zatelefonowałam na komisariat i okazało się, że jeszcze nie wyszedłeś.

Zamierzała wspomnieć również o wizycie Stephanie, ale słowa uwięzły jej w gardle. Gdyby Marcus zamierzał jej o tym powiedzieć, na pewno by to zrobił. Dlaczego miałyby być zazdrosna o własną siostrę, nawet jeśli istniały ku temu powody?

- Jak miło cię widzieć. Co za kontrast po takiej nocy! Tuż za rogiem jest barek. Może napijemy się kawy?

- Dobrze.

Znała ten podrzędny lokal. Odrapane stoliki, chwiejące się krzesła, kawa serwowana klienteli złożonej głównie z kierowców ciężarówek, którzy zatrzymywali się tam w drodze z jednego miasta do drugiego. Nie było to może wymarzone miejsce na przyjęcie oświadczeń, ale nadawało się z pewnością do ubijania interesów.

- Czemu zatem zawdzięczam ten zaszczyt? - spytał, gdy zaczęli już sączyć lurowatą kawę.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- To zależy, o co pytasz. Czy o to, że przyszłam, czy też o ten wspaniałomyślny gest, jaki zamierzam za chwilę wykonać.

Ich oczy spotkały się gdzieś ponad szczękiem naczyń, ochrypłymi głosami kierowców i dochodzącym z ulicy piskiem opon.

- Co masz na myśli? - odezwał się w końcu.

- Zastanawiałam się bardzo długo nad twoją propozycją - powiedziała spokojnie.

- I co? - spytał z wyraźnym trudem.

- Jak już sam rozsądnie zauważyłeś, chłopcy zyskają ojca, a Hannah matkę. Skoro ty jesteś gotów zaryzykować, ja również.

Przez chwilę odnosiła wrażenie, że dostrzega na jego twarzy zdumienie pomieszane z radością. Musiała się jednak mylić. Marcus zaproponował jej przecież małżeństwo wyłącznie z przyczyn praktycznych.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał ochrypłym szeptem. - Na tych warunkach?

- Oczywiście. Przecież już to mówiłam.

- Kiedy?

- Kiedy chcesz - odparta obojętnie, mając uczucie, że traktuje jak niesmaczne lekarstwo coś, co powinno sprawiać jej radość. Im szybciej sieje przełknie, tym lepiej.

- Postaram się, żebyś nigdy tego nie żałowała - powiedział cicho. - I ja, i Hannah postaramy się być grzeczni.

Uśmiechnęła się smutno. Wcale sobie nie życzyła, by Marcus był grzeczny. Pragnęła, by stał się zwykłym troskliwym mężem, z którym nawet bez miłości z jego strony mogłaby znaleźć w tym dziwnym związku bodaj odrobinę szczęścia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Chodźmy stąd - powiedział, ujmując jej rękę. - Nie będziemy świętować w takiej speluncie.

- A widzisz tu jakiś powód do świętowania?

- Owszem. A ty nie?

- Wolałabym, żebyś nie odpowiadał pytaniem na pytanie. Kiedy wyszli na ulicę, odwrócił się do niej.

- Musisz być przekonana co do słuszności tej decyzji - zaczął. - Naprawdę jestem zdania, że wszyscy możemy wyłącznie na tym zyskać: ty, ja, a przede wszystkim dzieci. Jeśli jednak masz wątpliwości, czas, żeby je wyjaśnić.

Odwróciła wzrok. Oczywiście, że miała wątpliwości. Nawet rozanielona panna młoda nie jest nigdy do końca pewna, czy nie popełnia błędu, a jej nie brakowało powodów do wahań. Nie usłyszała na przykład nigdy od swego przyszłego męża słowa: kocham.

Marcus stwarzał jej szansę odwrotu, nie zamierzała jednak zmienić zdania.

- Przecież powiedziałam, że za ciebie wyjdę - oznajmiła, cmokając go lekko w policzek.

Porwał ją w ramiona i pocałował w usta.

- Kiedy? - szepnął.

Gdyby nie powody, którymi się kierował, byłaby bardzo szczęśliwa z powodu tego pośpiechu.

- Może od dziś za miesiąc? W tym małym kościółku przy parku? Wolałabym oczywiście katedrę, ale nie dadzą nam ślubu, bo jestem rozwiedziona. Jest jednak szansa, że pastor Jefferson z mojej parafii przymknie na to oko. Poproszę, żeby Stephanie i Hannah były moimi druhami, a chłopcy drużbami. Co ty na to?

Gdy wreszcie wypowiedziała te słowa na głos, doszła do wniosku, że jest na co czekać.

Skromnego ślubu z Jamiem wolała nie wspominać. Teraz wszystko się zmieniło. Caroline знаła swoją wartość: była dobrym lekarzem, inteligentną kobietą i czułą matką dla swoich adoptowanych synów. Musi wreszcie pozbyć się kompleksów wobec Marcusa.

- Dobrze. A co ja mam zrobić? Znaleźć sobie drużbę i uszyć frak?

- Owszem - odparła spokojnie. - Jeśli niepisane nam będzie niebiańskie szczęście, to niech choć ślub będzie pamiętnym wydarzeniem. Ponieważ jednak moja siostra łączy jakieś nadzieje z twoją osobą, to albo wszystko od

razu odwołamy, albo wytłumaczysz jej delikatnie sytuację. Nie chcę, żeby cierpiała.

- Jej samej przestanie zależeć na moim towarzystwie, kiedy się dowie, że wychodzisz za mnie. Tak czy inaczej, będę pamiętał o tym ultimatum - odparł wolno.

Czyżby naprawdę mówili o jednym z najważniejszych wydarzeń życia? Obiektywny świadek nie odniósłby na pewno takiego wrażenia, przypomniawszy sobie jednak, że Marcus nie spał całą noc i musi być bardzo zmęczony. Nie należy przeciągać tej niemiłej rozmowy.

- Musisz odpocząć. Nie powinnam była tu przychodzić o tak wczesnej porze.

- Ale prawdopodobnie nie chciałaś czekać, bo się bałaś, że zmienisz zdanie?

- Świetnie czytasz w myślach - odparła ze śmiechem. - Z drugiej strony jednak bardzo mało mnie znasz. Idź do domu, do Hannah - dodała, głaszcząc go delikatnie po policzku - i prześpij się. Porozmawiamy kiedy indziej.

Skinął głową na znak zgody i oboje poszli do swoich aut.

Gdy wróciła do domu, chłopcy jeszcze spali. Ciekawa, jak zareaguje Hetty na jej plany matrymonialne, Caroline postanowiła od razu z nią porozmawiać.

- Marcus poprosił mnie o rękę - zakomunikowała bez wstępów.

Hetty popatrzyła na nią z radosnym zdumieniem, a Caroline pomyślała ze smutkiem, że poczciwa gosposia na pewno tak bardzo by się nie cieszyła, gdyby znała kulisy całej tej sprawy.

- Wiedziałam! - krzyknęła Hetty. - Zauważyłam, jak on na panią patrzy!

Jak na owada pod mikroskopem albo na niezrównoważonego pacjenta, pomyślała gorzko Caroline.

- Wodzi za panią wzrokiem, jakby się bał, że zniknie mu pani z oczu - ciągnęła Hetty z entuzjazmem. - Czy dzieci wiedzą?

- Jeszcze nie. Dopiero dziś dałam mu odpowiedź.

- Mam nadzieję, że wyraziła pani zgodę?

- Owszem.

- Nie musi się pani o nie martwić. Potrzebują dokładnie kogoś takiego jak doktor Owen.

Ja również, pomyślała. Tylko że on traktuje mnie wyłącznie jak osobę, której zadaniem jest strzec harmonii w rodzinie. I czy Hetty cieszyłaby się z

ich związku, gdyby stało się jasne, że z sobą nie sypiają? Bo tego faktu Caroline na pewno nie zdołałaby ukryć.

Gospościa poszła do kościoła, a ona chodziła z kąta w kąt.

próbując sobie wyobrazić, jak wyglądać będzie jej życie, kiedy zostanie żoną Marcusa. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była pewna, że nie chce, by powiększona rodzina zamieszkała w tym domu.

Przede wszystkim wydał się jej stanowczo za mały, aby pomieścić na stałe dodatkowych lokatorów, a wiedziała, że w tym szalonym małżeństwie będzie potrzebowała przestrzeni. Najbardziej zależało jej jednak na tym, by rozpocząć nowe życie w domu, który wybraliby razem.

Uśmiechając się do siebie, postanowiła, że już następnego dnia powiadomi Marcusa o swojej decyzji. Jeśli sądzi, że grozi mu nuda, głęboko się myli.

W pracy wiadomość o rychłym ślubie wspólników przyjęto z mieszaniną ciekawości i niedowierzania. Nie zabrakło również złośliwych komentarzy. Heather na przykład powiedziała jednej z recepcjonistek, że Marcus musi być chyba typem męczennika, skoro bierze na siebie wychowanie cudzego potomstwa, mając tyle kłopotów z własnym.

Słuchając rozmowy nie przeznaczonej zresztą zupełnie dla jej uszu, Caroline poczuła się urażona. Ona w końcu wносиła znacznie więcej do tego małżeństwa: mogła zaofiarować Marcusowi miłość. A kiedy zgorzkniała pielęgniarka dodała, że niektóre kobiety naprawdę urodziły się w czepku, Caroline miała ochotę jej powiedzieć, że pozory mylą. W porę jednak ugryzła się w język. Nie chciała, by ktokolwiek się dowiedział, że zawiera małżeństwo z rozsądku.

Pogłoski o ślubie rozeszły się szybko, gdyż Marcus poprosił Geoffreya, by został jego drużbą, a starszy wspólnik opowiedział wszystkim o planach matrymonialnych swych kolegów.

- Dlaczego wybrałeś akurat Geoffreya? - spytała Caroline z lekkim wyrzutem.

- Nie mam rodziny - odparł, wruszając ramionami. -Wszyscy moi przyjaciele są za granicą, a Geoffrey nie czerpie chyba mimo wszystko wiele radości z życia, więc...

- Doszedłeś do wniosku, że uczynisz mu ten zaszczyt. Gdy się uśmiechnął, poczuła nagłą chęć, by pogłaskać go po policzku, ale się powstrzymała. Dwukrotnie już przejmowała inicjatywę w takiej sytuacji i za każdym razem miała później o to do siebie pretensje.

- Nie masz nic przeciwko temu, prawda? - spytał.

- Przeciwno czemu? - Z trudem zebrała myśli.
- Temu, że Geoffrey będzie moim dżubą.
- Oczywiście, że nie - odparła i zaczęła się śmiać.
- Co cię tak bawi?
- Przechodzimy z jednej skrajności w drugą. Maleńka dżubna, maleńcy dżubowie i ten starszy pan... Ale nie tylko to mnie bawi.
- Ach, tak?
- Są tacy, którzy uważają cię za męczennika. Bierzesz sobie na kark kobietę z rodziną. Kobieta, która chyba urodziła się w czepek.
- I to jest takie śmieszne? - spytał, marszcząc brwi. Już jej wcale nie było wesoło. Chciała jedynie dać mu do zrozumienia, że teraz widzi to wszystko zupełnie inaczej. To raczej ona miała odgrywać rolę cierpiętnicy w tym dziwnym związku.
- Wcale nie - przyznała i poszła do pacjentów. Pierwsza w kolejce była Ellen Walters, stara zgorzkniała „strażniczka moralności”, kobieta o wyjątkowo trudnym usposobieniu.
- Dzień dobry - powitała ją Caroline. - W czym mogę pani pomóc? Jak tam woreczek?
- Trochę lepiej - odparła zrzędliwie staruszka - ale nie po to przyszedłam. Potrzebna mi nowa recepta na te tabletki na artretyzm.
- Zawsze może pani o to prosić pielęgniarkę.
- Czyli marnuję pani czas, tak? - spytała pani Walters.
- Ależ skąd. Mogłaby pani jedynie oszczędzić sobie kłopot. Chyba że ma pani do mnie inne sprawy.
- Wychodzi pani za mąż, bo zostanie pani matką dziecka tego Owena - bardziej stwierdziła niż zapytała staruszka. - Tak przynajmniej wszyscy mówią.
Gniew Caroline szybko ustąpił miejsca rozbawieniu.
- Owszem - odpowiedziała. - Nie jestem jednak w ciąży. Dziecko to całkiem spora dziewczynka, która będzie przybraną siostrą moich bliźniaków. Może pani to powtórzyć swoim informatorom.
Starsza kobieta nie mrugnęła nawet powieką.
- Rozumiem. To dobrze. Lekarze powinni stanowić wzór dla nich.
Caroline podeszła do drzwi i otworzyła je na całą szerokość.
- Zegnam panią. I mam nadzieję, że woreczek już nigdy nie będzie się pani dawał we znaki. Ale w razie czego proszę się pokazać.

- Przyjdę na pewno - obiecała kobieta na pożegnanie. W chwilę później w progu stanął Marcus.

- Co się stało? - spyta! na widok Caroline. - Wyglądasz, jakbyś nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Starsza pani załaziła ci za skórę?

- Ellen Walters sądzi, że musimy cię pobrać, bo zostanę matką twojego dziecka. Miała właśnie zamiar palnąć umoralniającą mówkę, kiedy jej wyjaśniłam, że jest bardzo daleka od prawdy.

Marcus poczerwieniał z gniewu.

- Nie musisz się tłumaczyć przed pacjentami!

- Masz rację. Z drugiej strony znaleźliśmy się w centrum zainteresowania, a znamy się tak krótko, że budzimy podejrzenia - odpada cierpliwie.

- Przecież to nieprawda - szepnął, biorąc ją w ramiona. - Znamy się od zawsze.

Tak! - miała ochotę krzyknąć, ale nie na tyle długo, aby się dochować wspólnych dzieci. Nie na tyle długo, aby wziąć ślub z miłości. I dlaczego właściwie on mnie przytula, skoro wokół krążą pacjenci?

- Istotnie - powiedziała bezbarwnym głosem, odsuwając się od Marcusa. - A jeżeli nie wrócimy do pracy, pacjenci powiedzą, że czekają na nas od wieków.

- Tak, oczywiście. Nie zwracaj uwagi na ludzi - dodał jeszcze, kierując się do drzwi. - Liczy się tylko to, co my myślimy.

Naciskając brzęczyk, pomyślała, że Marcus miałby zapewne rację, gdyby ich opinie na każdy temat - z małżeństwem na czele - tak bardzo się między sobą nie różniły.

Tego wieczoru Marcus i Hannah złożyli Caroline wizytę. Dziewczynka ze śmiechem rzuciła się jej w objęcia. Patrząc ponad ciemnymi lokami małej prosto w oczy Marcusa, Caroline poczuła nagły ucisk w gardle. Odnosiła wrażenie, że to dziecko już ją kocha. Gdyby jeszcze jej ojciec czuł to samo!

Niezależnie od tego, co miała im przynieść przyszłość, Caroline wiedziała jednak, że już teraz odgrywa znaczącą rolę w życiu tych dwojga. Ślub nie jest więc tak całkowicie pozbawiony sensu.

Chłopcy usłyszeli śmiech Hannah i natychmiast wciągnęli ją do wspólnej zabawy.

- Cieszę się, że przyszedłeś - rzekła Caroline do Marcusa, gdy zostali sami.

- Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

- Ja też mam dla ciebie wiadomość - odparł.

- Mów w takim razie pierwszy.

- Rozmawiałem z patologiem na temat tego samobójcy.

- Ach, tak! I co?

- Miałaś rację, moja inteligentna przyszła żono. To rzeczywiście było zatrucie kwasem akonitynowym. Sąsiad odkrył zniknięcie torby z bulwami tojada. Już wtedy zdawał sobie sprawę ze swojej pomyłki i wykopał wszystko, co zasadził. Zmarły zabrał worek, nie wiedząc, co kradnie. Sądził, że zrobi na złość swojemu wrogowi.

- A morał jest taki, że poniósł surową karę za kradzież. - Caroline aż się wzdrygnęła.

- Teraz twoja kolej. Czym mnie chcesz zaskoczyć?

- Uważam, że powinniśmy kupić dom.

- To wszystko? A już się bałem, że chcesz mnie rzucić dla Johna Lennox albo że nie masz rozwodu z Jamiem. Mogłaś się też zapisać do jakiejś dziwnej sekty. Jeśli jednak chodzi tylko o dom, to zrobimy, co zechcesz. Sam zamierzałem zaproponować takie rozwiązanie, ale nie byłem pewien, jak zareagujesz. Możemy od razu zacząć poszukiwania.

Caroline odwróciła głowę. Wszystko udawało się znakomicie: najpierw serdeczne powitanie z Hannah, teraz ta rozmowa...

W tej samej chwili Liam spadł z roweru i wszystko wróciło do normy.

- Odwiedziłem cię jeszcze z innego powodu - dodał Marcus przed wyjściem.

- Tak? - Popatrzyła na niego ciekawie.

- Zaproszono mnie na przyjęcie do komisarza policji. Mam się zjawić z osobą towarzyszącą. Obiecałem, że ich nie zawiodę, choć nie wiedziałem, kogo przyprowadzić. Nie byłem pewien, czy mogę się zwrócić do ciebie, bo odnosiłem wrażenie, że nie bardzo przepadasz za moim towarzystwem. W obecnej sytuacji jednak proszę, żebyś się zgodziła.

Poczuła przyspieszone bicie serca, choć wołałaby oczywiście, by Marcus porwał ją w ramiona i poprosił: „Chodź ze mną, kochanie”. Tak właśnie postąpiłby w przeszłości. Niemniej jednak tego rodzaju okazji zdarzały się niezwykle rzadko i postanowiła wykorzystać szansę.

- Z przyjemnością z tobą pójdę - oświadczyła, a jej fiołkowe oczy rozbliły z radości. - Kiedy to będzie?

- W sobotę.

- W sobotę? Nie dajesz mi zbyt wiele czasu. Ach, rozumiem - powiedziała wolno, gdy Marcus odwrócił wzrok. - Zapraszałeś wiele innych osób, aż wreszcie padło na mnie.

- A niech cię! - mruknął, odwracając się gwałtownie w jej stronę. - Oczywiście, że nikogo nie zapraszałem. Ktoś mi nawet zasugerował, że miałby czas, ale udawałem, że nie słyszę. Chcę pójść z tobą. Przecież mamy się pobrać, prawda?

- Czy to Stephanie?

- Co Stephanie? Chodzi ci o to, czy to ona proponowała mi swoje towarzystwo? Nie, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, to była jedna z pacjentek. Zaczęliśmy rozmawiać i tak jakoś wyszło...

Caroline wydała westchnienie ulgi. Nie miała pojęcia, czy siostra jest naprawdę zainteresowana Marcusem. Poza tym Stephanie nawet nie wiedziała jeszcze o ślubie.

- A więc zapraszasz mnie, żeby uwiarygodnić nasze plany matrymonialne?

- Przestań analizować moje motywy! - zawołał. - Obiecałaś, że ze mną pójdziesz, a teraz się wycofujesz?

- Wcale się nie wycofuję - powiedziała cicho. - Staram się po prostu zrozumieć, dlaczego mnie zaprosiłeś.

- I już to wiesz? - spytał, marszcząc brwi.

- Chyba tak.

- Więc?

Ogarnęło ją rozbawienie. Marcus najwyraźniej odłożył zaproszenie na ostatnią chwilę, ponieważ spodziewał się odmowy. Przedtem jednak Caroline wyraziła zgodę na ślub, więc znaczenie przyjęcia gwałtownie zmalowało.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przed przyjęciem sporo się wydarzyło. Doszło między innymi do nieprzyjemnej konfrontacji między siostrami.

- Marcus poprosił mnie o rękę - rzekła Caroline, kiedy Stephanie wróciła po północy do domu i robiła sobie kawę.

Dziewczyna znieruchomiała z kubkiem w ręku.

- Ale ty odmówiłaś, bo przecież go nie kochasz.

- Mylisz się, wyraziłam zgodę.

- Naprawdę? - wykrzyknęła Stephanie. - Jak możesz go tak krzywdzić? Nie darzysz go uczuciem...

- W przeciwieństwie do ciebie, tak? - przerwała cicho Caroline.

- To ty to powiedziałaś, nie ja! - krzyknęła Stephanie i pobiegła na górę, niczego więcej nie wyjaśniając.

Caroline mogła się jedynie domyślać, co się z nią dzieje.

Do końca tygodnia mieli bardzo dużo pracy. Heather wyjechała na wakacje, a jej zastępczyni nie dawała sobie rady. Na domiar złego Sue Bell zachorowała i nieobecność obu wykwalifikowanych pracowników mocno dawała się lekarzom we znaki.

Po weekendowym dyżurze Marcus mógł zapomnieć na dwa tygodnie o wezwaniach policji. 1 dobrze się stało, gdyż w przychodni roіło się wręcz od pacjentów. Geoffrey wywiązywał się wprawdzie z obowiązków, ale wyjeżdżał w piątki wczesnym popołudniem i wracał dopiero w poniedziałek, co nie poprawiało sytuacji.

Wzywając swego ostatniego pacjenta przed weekendem, zmęczona Caroline modliła się w duchu o to, by przypadek nie okazał się zbyt poważny. Kiedy jednak zobaczyła, w jakim stanie znajduje się Noreen Gresham, uznała swe nadzieje za płonne.

Pięćdziesięcioletnia Noreen przeszła kilka lat wcześniej wylew. Nadal miała pewne problemy z mówieniem i cierpiała na niedowład lewej nogi. Caroline patrzyła teraz niespokojnie, jak ta dumna, niezależna kobieta z trudem wchodzi do gabinetu.

- To noga, pani doktor. Muszę ją za sobą ciągnąć - powiedziała z wysiłkiem.

- Dlaczego nie wezwała mnie pani do domu? - spytała Caroline.

Pomogła zdjąć Noreen płaszcz i zmierzyła jej ciśnienie.

- Przecież tyle razy pani mówiłam, że przyjadę, ilekroć zajdzie taka potrzeba.

- Zamówiłam taksówkę - odparła Noreen ochryłym głosem. - Autobusem nie dałabym rady.

- No, myślę! - westchnęła Caroline. - Mimo leków ma pani bardzo wysokie ciśnienie, przyspieszony puls. Wiem, że to się na pewno pani nie spodoba, ale poślę po karetkę. Musi pani iść na badania do szpitala.

Chora wyciągnęła rękę, jakby chciała ją powstrzymać.

- Nie! Już się napatrzyłam na szpitala.

- Czy nie lepiej jeszcze trochę się pomęczyć i znów dojść do formy?

Noreen, najwyraźniej nie przekonana, zapatrzyła się tępo w przestrzeń. W tej sytuacji pozostawała jedynie terapia szokowa.

- Miała pani chyba maty wylew. Czy już teraz pani rozumie konieczność pobytu w szpitalu?

- Czułam, że to coś złego...

- Dlaczego w takim razie tak późno pani do mnie przyszła?

- Sama muszę się o siebie troszczyć. Nie mogę stale polegać na innych.

- Wiem - odparła współczująco Caroline. - Czasem jednak nie mamy wyboru. Mam teraz zadzwonić do pani córki i poprosić, żeby przyjechała do szpitala?

- Chyba tak, chociaż ona na pewno narobi straszego zamieszania, a ja tego nie znoszę.

- Byłoby znacznie gorzej, gdyby się w ogóle o panią nie troszczyła - odparła Caroline, sięgając po słuchawkę.

W dzień przyjęcia pogoda nie dopisała. Poranek był mokry i chłodny. Caroline popatrzyła smętnie na jedwabną suknię, kupioną specjalnie na tę okazję, i dobrany do niej kapelusz. Tak bardzo pragnęła wywrzeć dobre wrażenie na współpracownikach i przełożonych Marcusa, a jej piękny strój miał niestety zniknąć pod płaszczem przeciwdeszczowym!

Najbardziej jednak pragnęła oczarować przyszłego męża. Było to przecież ich pierwsze wspólne wyjście. Choć ten jeden raz w życiu zamierzała zachować się swobodnie, jak ptak wypuszczony z klatki. Na szczęście mniej więcej koło południa zza chmur wyjrzało słońce. Kiedy gotowa do wyjścia pokazała się bliźniakom, Luke spojrział z podziwem na jej kapelusz.

- Wyglądasz cudownie, mamó - powiedział. - Jak blady, zielonkawy muchomor.

Zburzyła mu delikatnie włosy.

- Dzięki, kochanie. Potrzebowałam kilku słów wsparcia.

Wiadomość o jej ślubie z Marcusem chłopcy przyjęli entuzjastycznie. Chcieli jedynie wiedzieć, kiedy to nastąpi, a także, mając na względzie ich poranne pieszczoty, czy Marcus będzie sypiał w jej łóżku. Na pierwsze pytanie mogła udzielić im jasnej, sprecyzowanej odpowiedzi. Drugie wymagało pewnej finezji.

- Będziemy musieli zobaczyć, jak się wszystko ułoży. Być może Hannah nie będzie chciała na początku zostać sama w pokoju. Pamiętajcie, że to będzie dla niej niezwykle trudne: nowa rodzina, przeprowadzka do nieznanego domu...

Chłopcy - najwyraźniej usatysfakcjonowani tym, co usłyszeli - pobiegli się bawić, a Caroline pomyślała, że to, co ma nastąpić, będzie na pewno trudne dla wszystkich, a już najtrudniejsze dla niej samej. Tego wieczoru postanowiła jednak zapomnieć o troskach i gdy wieczorem Marcus po nią przyjechał, wybiegła radośnie na jego spotkanie.

- Pięknie wyglądasz - powiedział. - Będę musiał pilnować chłopaków. Jeszcze zechcą cię aresztować...

- Serdeczne dzięki - odparła z lekką drwiną. - To już drugi taki komplement. Lukę uważa, że wyglądam jak muchomor.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął serdecznym śmiechem. A ona popatrzyła na niego czule. W życiu Marcusa nie było do tej pory zbyt wielu powodów do radości. Najpierw opuściła go lekkomyślna dziewczyna, a potem stracił ukochaną żonę i musiał sam wychowywać córkę, pracując na dwóch etatach.

Caroline zapomniała na chwilę o swoich nie spełnionych marzeniach i poprzysięgła sobie, że wniesie w życie tego mężczyzny trochę szczęścia.

Gdy wkraczali do ogrodów komisarza policji, Marcus ujął ją za rękę, a ona poczuła się tak, jakby słońce świeciło dziś" wyłącznie dla nich.

Marcus przedstawiał ją wszystkim jako swą narzeczoną, co sprawiało jej ogromną przyjemność. Na przyjęcie przybyli miejscowi dygnitarze, członkowie Rady Miejskiej, policjanci z żonami, a także funkcjonariusze niższego szczebla, których zadaniem była ochrona zebranych.

- Dlaczego przedsięwzięto aż tyle środków bezpieczeństwa? - spytała Caroline. - Zaczynam się trochę bać.

- Takie są przepisy - odparł. - Niektórzy mieliby ochotę narobić komisarzowi trochę kłopotu. A gdyby im się udało, zaszkodziłoby to na pewno dobremu imieniu policji.

- Komisarzowi również.
- Na pewno nie, ale to nie nasza sprawa. Mamy własne problemy.
- Nie chcę, żebyś mi o nich przypominał. Nie dzisiaj.
- Wolisz żyć chwilą, prawda?

Przytaknęła bez słowa. Nie miała ochoty kontynuować tego tematu, a on też już nic nie mówił. Wziął ją tylko za rękę i lekko pociągnął, by wstała z krzesła.

- Jeśli skończyłaś, chodźmy. Tu jest strasznie duszno i gorąco.

Caroline skinęła głową. Bardzo chciała zostać sama z Marcusem i po raz pierwszy ich myśli zdążyły w tym samym kierunku.

Może dziś wreszcie wszystko się ułoży? - myślała. Niebo było niebieskie, owiewał ich zapach kwiatów, po raz pierwszy odłożyli troski na bok. W dobrych nastrojach mogli nareszcie normalnie porozmawiać, oczyścić atmosferę i popatrzeć bez lęku w przyszłość.

Kiedy wyszli z namiotu herbacianego, w ogrodzie prawie nikogo nie było: wszyscy goście udali się na posiłek. Doceniając ten nieoczekiwany spokój, ruszyli wolnym krokiem w stronę altanki.

- Siądziemy? - spytał Marcus.

Przytaknęła; serce zaczęło jej nagle bić bardzo mocno. Czar wieczoru trwał. Ławeczka nie była zbyt szeroka, więc stykali się udami. Dotyk ciała Marcusa obudził w niej dawną tęsknotę.

- Szczęśliwa? - spytał, odwracając do niej głowę.

- Tak - odparła szczerze. - A jeśli chcesz wiedzieć, to głównie dlatego, że przestaliśmy się kłócić. Modłę się, żeby tak już zostało.

- A dlaczego nie miałyby zostać?

- Nasze poprzednie małżeństwa nie przetrwały, więc oboje jesteśmy bardzo ostrożni... - Odwróciła głowę. - I choć zamierzamy zawrzeć małżeństwo z rozsądku, mam nadzieję, że znajdziemy szczęście w tym związku.

Skrzywił się lekko i spochmurniał.

- Więc jednak dręczą cię wątpliwości?

- Ciebie nie?

- Owszem - przyznał. - Ale nieco innej natury niż twoje, a teraz, gdy siedzisz przy mnie, w ogóle ich nie czuję. Twierdzisz, że jesteś szczęśliwa, bo zapanował spokój. Cóż, może czar pryśnie, ale zamierzam ten spokój zburzyć.

Otworzyła szeroko oczy. Co to ma znaczyć?

Odpowiedź odnalazła w jego oczach, gdy porwał ją w ramiona. W tej samej chwili poczuła, że być może jej modły zostały wysłuchane.

- Mamusiu! Tu jest taki mały domek, cały w kwiatkach - zawołał jakiś dziecięcy głos. - Możemy wejść do środka?

- Koniec zaczarowanego ogrodu - szepnął Marcus ze smutnym uśmiechem.

Po skończonym przyjęciu goście udali się do domów.

- Którędy mam jechać? - spytał Marcus. - Skrótem przez miasto czy drogą przez wieś?

- Najdłuższą - odparła.

- Też tak myślałem.

Wsiedli do auta i zapanowało między nimi przyjazne milczenie. Tę popołudniową idyllę przerwało jednak coś, na co Caroline zupełnie nie miała wpływu.

Wjeżdżając na wiejską drogę, Marcus musiał zahamować, gdyż przejazd zablokowały dwa wozy: ciężarówka i duży, czarny samochód, które najwyraźniej nie mogły się wyminąć.

Potem Caroline zauważyła, że kierowca auta znajdującego się po tej stronie, co ich samochód, tłucze pięściami w szyby ciężarówki.

- Co tu się dzieje? - mruknął Marcus. - Piractwo drogowe? Caroline poruszyła się niespokojnie.

- Zawracaj - powiedziała szybko. - Nie przecięniemy się tędy, a facet najwyraźniej oszalał.

- Nie mogę tak po prostu odjechać. Żaden z nich nie ustąpi, a ten wariat może zrobić krzywdę kierowcy. Jestem lekarzem policyjnym i chociaż nie pełnię dyżuru, nie mogę zachować się obojętnie. Ten facet jest niebezpieczny - dodał, wysiadając z samochodu. - Zadzwoń z komórki po policję i zamknij drzwi od środka.

Marcus podszedł do rozwścieczonego mężczyzny, aby go uspokoić. Ten jednak odepchnął go na bok, okrążył samochód i sięgnął do bagażnika. Mimo wysiłków Marcusowi nie udało się nakłonić kierowcy ciężarówki, by wysiadł z szoferki i dołączył do Caroline. Ich samochód stał za czarnym autem, toteż gdy właściciel czarnego wozu w furii dobył siekierę z bagażnika i ruszył na Marcusa, nie zauważył, że ktokolwiek siedzi w środku.

Przerażona Caroline wybiegła z auta i skoczyła bandycie na plecy. Był ciężki i silny, więc zrzucił ją z siebie natychmiast i ponownie zamierzył się na Marcusa. Ten jednak zdążył się zorientować, co mu grozi, i odparł atak.

Podczas szamotaniny siekiera upadła na ziemię i Marcus zdołał obezwładnić napastnika. W tej samej chwili kierowca ciężarówki odważył się wyjść z szoferki.

- Pilnuj tego drania, a ja zajmę się kobietą - syknął Marcus. - Wszystko w porządku? - spytał ochryplym głosem, podbiegając do Caroline.

- Tak. choć jeszcze nigdy tak bardzo się nie bałam.

- Ja też - rzekł ponuro, ale zamiast wziąć ją w ramiona i uspokoić, zamarł w bezruchu.

Z oddali dobiegło ich wycie syreny. Szaleniec próbował podnieść się z ziemi, ale kierowca ciężarówki, nie bojąc się już dłużej o swoje życie, postawił mu ciężki but na piersi.

Dwa policyjne auta zatrzymały się na zablokowanej drodze, wybiegli z nich funkcjonariusze. Caroline myślała tylko o jednym: pragnęła, by Marcus przytulił ją i zabrał do domu, daleko od tego okropnego zdarzenia.

On jednak rozmawiał z policjantem. Minę miał ponurą, ani razu się do niej nie uśmiechnął. Czując, że na jakikolwiek czuły gest będzie musiała poczekać, poszła do samochodu i opadła bezwładnie na siedzenie. Nie zostało jej jednak zbyt wiele czasu na uspokojenie się. Marcus pojawił się przy niej niemal natychmiast w towarzystwie młodej policjantki.

- Muszę jeszcze zostać, więc poprosiłem panią, żeby odwiozła cię do domu.

- Wolę poczekać i jechać z tobą - zaprotestowała. Pokręcił głową.

- To nie jest dobry pomysł. Zrób, co mówię. Proszę dopilnować, żeby doktor Croft wypija filiżankę herbaty natychmiast po powrocie - zwrócił się do funkcjonariuszki i popatrzył ponownie na Caroline. - Policja będzie chciała zapewne usłyszeć twoją wersję zdarzenia, ale równie dobrze mogą cię przesłuchać w domu.

Miejsce wszystkich innych uczuć, jakie w niej gościły w ciągu ostatnich trzydziestu minut, zajął gniew. Gniew ten silniejszy był nawet od przerażenia, które ogarnęło ją w chwili, gdy mężczyzna rzucił się z siekierą na Marcusa.

Co się dzieje? - myślała. Marcus zachowywał się tak, jakby miał do niej o coś pretensję, jakby to ona była winna temu, co zaszło. Czy on naprawdę nie widzi, jak bardzo potrzebuje jego opieki? Czyż naprawdę nie wie, że gdyby coś mu się stało, jej życie straciłoby natychmiast wszelki sens?

- Strasznie pani błada! Dobrze się pani czuje? A gdzie jest doktor Owen? - dopytywała się Hetty. gdy Caroline dotarła wreszcie do domu. Aby nie

niepokoić gospodyni, poprosiła policjantkę o zatrzymanie auta daleko za domem.

- Musi załatwić pewne sprawy na komisariacie, więc wzięłam taksówkę, bo strasznie boli mnie głowa.

- O mój Boże! Może powinna się pani położyć?

- Chyba tak zrobię - przytaknęła Caroline. Otwierała się przed nią szansa, by pozbierać skołatane myśli. Zdjąwszy zieloną, jedwabną suknię, zasunęła kotary i położyła się na łóżku, wbijając kamienny wzrok w sufit.

Jak mogła dopuścić do tego, by Marcus doprowadzał ją do takiego stanu? Mogła. Tam, na wiejskiej drodze, była naprawdę przerażona. Reakcja absolutnie normalna w takich okolicznościach. Na samą myśl o szaleńcu z siekierą czuła dziwną suchość w ustach. Musiała jednak wówczas zareagować. Musiała ratować Marcusa.

Oczywiście nie oczekiwała od niego wdzięczności, lecz nie spodziewała się również tak chłodnego traktowania. Jej rozmyślania przerwały szybkie kroki na schodach.

- Kto tam? - spytała, słysząc pukanie do drzwi, zupełnie jakby nie wiedziała, kto za nimi stoi.

- To ja - odezwał się Marcus. - Czy mogę wejść?

- Tak, jeśli fakt, że jestem jedynie częściowo ubrana, nie wydłuży listy moich wykroczeń.

Wszedł, zanim jeszcze skończyła mówić, i objął wzrokiem jej przezroczystą koszulkę, spod której prześwitywały piersi. Nie uległ jednak pokusie.

- Dobrze się czujesz? - spytał, siląc się na spokój.

- Owszem - odparła mruklawie.

- Ale?

- Ale jestem na ciebie wściekła. Jak mogłeś mnie tak po prostu usunąć z drogi i wysłać do domu?

- Na miłość boską! - wykrzyknął z przerażeniem. - Przecież o mało przeze mnie nie zginęłaś. Kiedy skoczyłaś na tego zbira, nogi się pode mną ugięły ze strachu.

- A co miałam robić? Stać i patrzeć?

- Tak - odparł stanowczo. - Masz dwoje dzieci. A gdyby on cię zabił? Był najwyraźniej do tego zdolny.

- Ty też masz dziecko - przypomniała.

- Myślisz, że nie pamiętam? - sarknął. - To jednak niczego nie zmienia. Prosiłem, żebyś została w samochodzie, - a ty mnie nie posłuchałaś.

- Owszem, prosiłeś, ale ja nie wyraziłam na to zgody. Sama potrafię podejmować decyzje. Robię to zresztą od dawna.

Chciała go sprowokować i całkowicie się jej to udało.

- Martwa nie przydasz się na nic ani mnie, ani dzieciom! - syknął.

- O właśnie! Jeszcze tego brakowało! Usiłujesz mi powiedzieć, że gdybym zginęła, narobiłabym ci tylko kłopotów. A ty potrzebujesz przecież macochy, gosposi i damy do towarzystwa w jednej osobie. Ale mam dla ciebie nowinę. Ślubu nie będzie V

- Czyżby? - spytał podejrzanie cicho. - Chyba jednak się mylisz! Nie pozwolę ci cofnąć słowa. Wyjdiesz za mnie, niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie.

- W takim razie szkoda, że ten wariat mnie nie zabił! Zerknął na jej ramiona i splątane włosy.

- Bardzo mi przykro, że tak mówisz. Pomyśl o chłopcach! Oni naprawdę pragną naszego ślubu. Chcesz sprawić im zawód tylko dlatego, że masz muchy w nosie?

- Muchy w nosie! - wykrzyknęła. - Nie znam nikogo równie niewrażliwego jak ty!

Uśmiechnął się zimno.

- Muszę sobie w takim razie zasłużyć na tę opinię.

Szybkim ruchem zsunął przezroczystą koszulkę z ramion Caroline i przywarł ustami do jej piersi. Jego ręce - jeszcze przed chwilą zaciśnięte w bezsilnej wściekłości - stały się teraz pełne napiętości. Ogarnęła ją masa sprzecznych uczuć. Znalazła się wśród nich także gorzka satysfakcja. Marcus jej pragnie! Ale czy ich związek ma się opierać jedynie na pożądaniu?

Odepchnęła go od siebie z całych sił.

- O co ci chodzi? Co ja takiego zrobiłem? - spytał zdumiony.

- Nic. Po prostu zrozumiałam, że nie chcę seksu bez miłości.

- Aha, tym razem sięgnęłaś po taką wymówkę. Zawsze znajdujesz jakiś powód. Mówisz o seksie bez uczuć. Czy ty przypadkiem nie próbujesz mnie sprowokować?

- Odwagi ci nie brakuje! - przerwała z oburzeniem.

- Prawda? - spytał, kierując się już ku drzwiom. - W przeciwnym wypadku nie decydowałbym się przecież na ten szalony krok. Ach, byłbym zapomniał.

W związku z naszymi planami zamierzam przyjechać po ciebie jutro rano. Jesteśmy umówieni z agentami nieruchomości.

Na środkowej stronie niedzielnej gazety widniał nagłówek: Lekarz policyjny i lekarka rodzinna wplątani w awanturę na drodze.

- Nic dziwnego, że miała pani migrenę! - rzekła Hetty. - Teraz już rozumiem, dlaczego doktor Owen był w takim stanie, kiedy tu wczoraj przyjechał. Przeskakiwał po trzy stopnie naraz.

Caroline pomyślała ze smutkiem o uroczym popołudniu spędzonym w altance. Magia tych chwil wydawała się przedłużeniem radości, która towarzyszyła jej od momentu, gdy włożyła suknię. A później ten wspaniały nastrój zniszczyli trzej mężczyźni: dwaj uparci kierowcy i jeden zbyt pewny siebie lekarz.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Oglądanie domów przebiegało bez kłótni. Na uspokojenie atmosfery wpłynęła niewątpliwie obecność dzieci. Marcus był zresztą w wybitnie pokojowym nastroju. Tak czy inaczej, Caroline cieszyła się bardzo z tego powrotu do normalności. Kiedy porównali notatki, odkryła ze zdziwieniem, że podobał im się najbardziej ten sam obiekt - stara wiktoriańska rezydencja złożona z sześciu sypialni, otoczona sadem, przez który przepływał wąski strumyk.

Dom wydawał się wymarzony pod każdym względem. Położony na tyle daleko od przychodni, by mogli czasami o niej zapomnieć, i na tyle blisko, by bez problemów dojechać do pracy, spełniał wszelkie warunki i wymagania.

Caroline dostrzegała jednak pewien szkopuł i była gotowa dać wiele za to, by się dowiedzieć, czy myśli Marcusa krążą po tych samych torach. Potrzebowali pokoju dla Hetty, dla chłopców, dla Hannah oraz pokoju gościnnego. Zostawały im zatem dwa, tak więc każde z nich zamieszkałoby w tej sytuacji w osobnej sypialni.

Komu zatem przypadłby w udziale przepiękny pokój małżeński? Może Marcus zaproponuje losowanie? Wzniosła oczy do nieba, jakby liczyła na to, że nieżyjąca Kirstie pomoże jej zdobyć serce tego nieczułego mężczyzny.

- Co o tym myślisz? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Sądzę, że ten dom świetnie się dla nas nadaje - odparła poważnie. - Dzieciom będzie się tutaj bardzo podobało.

- Na pewno. A tobie?

Jej serce krzychało: „Gdzie ty, tam ja”, ale po kłótni w sypialni nie mogła sobie pozwolić na takie wyznanie.

- Jeśli w ogóle istnieje jakieś miejsce odpowiednie dla nas, to właśnie to.

- Więc masz wątpliwości?

- Tylko co do nas. Nie co do domu.

- Mają państwo coś do sprzedania? - spytała szybko agentka, niezadowolona ze zmiany tematu.

- Tak. Dwa domy. To bardzo pilne - dodał Marcus.

- W takim razie powinni się państwo tym zająć jak najszybciej. Rynek nieruchomości przeżywa prawdziwy boom. Proponuję, żebyśmy wrócili do biura i omówili szczegóły zarówno sprzedaży, jak i kupna.

Nadeszła pora lunchu.

- Dlaczego tak ucichłaś? - spytał Marcus, gdy jechali do restauracji. - Pewnie już żałujesz swojej decyzji?

- Oczywiście, że nie. Dom jest piękny. Myślałam tylko o tym, jak bardzo może się zmienić czyjeś życie w przeciągu tak krótkiego czasu.

- To prawda. Skoro jednak nie żałujesz wyboru domu, może nie jesteś pewna, czy powinnaś wyjść za mnie za mąż? - spytał spokojnie, choć w jego głosie pobrzmiwała jakaś dziwna, obca nuta.

Gdyby chodziło o kogoś innego, Caroline pomyślałaby zapewne, że to niepokój. Po tym jednak, jak Marcus nie przyjął do wiadomości jej decyzji o odwołaniu ślubu, na pewno niczym się już nie martwił.

- Nie. Byłabym wprawdzie szczęśliwsza, gdybyśmy zawierali małżeństwo w innych okolicznościach, ale jesteśmy oboje dorośli. Uważam, że połączenie się w jedną rodzinę będzie dla nas korzystne zarówno ze względu na dzieci, jak i materialnie.

- I to wszystko? Tylko korzystne? Wjeżdżali właśnie na parking pod restauracją.

- A dostrzegasz w tym małżeństwie coś jeszcze? - spytała prowokująco.

- Może.

- Może! - wykrzyknęła. - Szczerze mówiąc, nie robi to na mnie specjalnego wrażenia. Nie zamierzam również zastępować twojej zmarłej żony.

- Znow wyciągasz jakieś pochopne wnioski. Ale dość już rozmów jak na jeden poranek. Dzieci są głodne. Zjedzmy coś wreszcie.

W poniedziałek rano wszyscy mówili wyłącznie o tym, co się stało po sobotnim przyjęciu, a Caroline i Marcus zyskali, chcąc nie chcąc, sławę bohaterów.

Do pracy wróciła Sue.

- Będzie pani miała białą suknię ślubną? - spytała.

- Chyba nie - odparła Caroline. - Oboje mamy już po jednym małżeństwie za sobą i dziwnie bym się czuła w tradycyjnym stroju panny młodej.

- W takim razie co pani włoży?

- Jeszcze nie wiem, ale to nie może być nic bardzo oficjalnego, gdyż družbami będą dzieci. Pomożesz mi coś wybrać?

- Z przyjemnością. - Sue rozpromieniła się z radości. - Nie tak dawno sama brałam ślub i chętnie przeżyję to wszystko na nowo.

- Znakomicie - odparła Caroline z uczuciem, że te zakupy sprawiają przyjemność głównie Sue, a nie jej.

Kiedy po skończonym dyżurze Marcus odwiedził ją w gabinecie, zadała mu pytanie, które już od dawna ją nurtowało.

- Jakim wirusem zaraziła się właściwie twoja żona? Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Dlaczego pytasz?

- Z powodu naszej wczorajszej rozmowy. Zastanawiałam się, dlaczego Kirstie tak szybko wróciła do pracy. Potrzebowaliście pieniędzy?

Marcus pokręcił głową.

- Nie. A wirusa nigdy do końca nie zidentyfikowano. - Twarz mu stężała, rozmowa na ten temat najwyraźniej przychodziła mu z trudnością. - Kirstie była chyba taka sama jak ty w czasie, kiedy decydowałaś się na adopcję chłopców. Chciałaś nadal pracować zawodowo.

- Owszem, ale ja przez pierwsze trzy lata żyłam wyłącznie z oszczędności i najróżniejszych zasiłków. Wróciłam do pracy dopiero wówczas, gdy między mną a bliźniakami wytworzyła się naprawdę silna więź. Liam i Luke stracili matkę. Nie chciałam, żeby odnosili wrażenie, że przybranej mamy nigdy nie ma w domu.

- Bardzo słuszna decyzja - odparł poważnie. - Nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać. W przypadku Kirstie to wszystko wyglądało jednak zupełnie inaczej. Nie mogła się doczekać powrotu do szpitala. Przed urodzeniem Hannah wygrała konkurs na pielęgniarkę roku i sława uderzyła jej do głowy. Z cichej, skromnej kobiety przeistoczyła się w bezwzględną pracoholiczkę, zdecydowaną wejść na szczyt. Ja i Hannah znaleźliśmy się na dalekim planie. Tak więc teraz już wiesz, jak powinnaś postępować. To nie takie trudne.

Z tymi słowami wyszedł z gabinetu, pozostawiając Caroline w stanie osłupienia. Zdumiona rewelacjami na temat małżeństwa Marcusa pragnęła za nim pobiec, ale w tej samej chwili nadszedł Geoffrey, a Caroline nie miała ochoty wtajemniczać go w szczegóły swego pry warnego życia. Starszy wspólnik przywołał Marcusa z powrotem.

- Co byście chcieli dostać w prezencie w ślubnym? - spytał, gdy już usiedli.

- Słyszałem, że kupujecie stary wiktoriański dom. Ponieważ jednak wiem, jak wilgotne bywają te rezydencje, przyszło mi do głowy parę pomysłów. Chciałbym je teraz z wami skonsultować, dobrze?

- Oczywiście - mruknęła Caroline, a Marcus skinął uprzejmie głową.

- Może urządzenie do regulacji wilgotności powietrza? - zaproponował Geoffrey swym charakterystycznym protekcjonalnym tonem. - Albo taki

specjalny wózek do utrzymywania temperatury potraw, żeby nie stygły zbyt szybko w zimnych pokojach? Ewentualnie staromodne butelki na gorącą wodę, albo takie specjalne nakładki na nóżki wanny. No, co o tym myślicie?
- zakończył, unosząc krzaczaste brwi.

Caroline omal się nie roześmiała, lecz Marcus zdołał zachować powagę.

- Musimy się zastanowić, jeśli pozwolisz. Zapewne sądzisz, że standard naszego życia znacznie się obniży. Weźmiemy pod uwagę twoje sugestie.

Starszy pan skłonił uprzejmie głowę i wyszedł. Ledwo zamknęły się za nim drzwi, Caroline i Marcus wybuchnęli śmiechem.

- Szkoda, że nie zaproponował radia z anteną - chichotała Caroline.

- Albo pokrowców na meble! - wtórował Marcus.

- Geoffrey ma bardzo nowoczesnie urządzone mieszkanie - dodała Caroline. ocierając oczy. - Najwyraźniej patrzy na wszystkich, którzy mają inny gust, jak na wariatów.

- Co mu powiemy?

- Trzeba chyba wybrać te butelki. Mogą służyć za blokady do drzwi.

Rozmowa z Geoffreyem znacznie poprawiła im humor. Caroline zdobyła się nawet na odwagę, by poruszyć temat Kirstie.

- Nie wiedziałam, że twoje małżeństwo było równie nieudane jak moje. A jednak oboje znów chcemy ryzykować. Co w nas wstąpiło?

- Czas pokaże - odparł spokojnie. - O ile pamiętam, ty miałaś zawsze skłonności do hazardu.

Popołudnie spędzone na zakupach w towarzystwie Sue sprawiło Caroline sporą przyjemność. Przyniosło również efekt w postaci kreacji z surowego jedwabiu. Suknia sięgała jej do połowy łydki, miała głęboki dekolci, długie rękawy i rozkloszowaną spódnicę. Kolor podkreślał alabastrową cerę i piękny odcień włosów przyszłej panny młodej.

- Wygląda pani wspaniale! - wykrzyknęła Sue, gdy Caroline wyszła z przymierzalni. - Mam nadzieję, że Marcus zdaje sobie sprawę z tego, jakim jest szczęściarzem.

Caroline popatrzyła na nią pytająco. Była to wprawdzie uwaga typowa dla tego rodzaju sytuacji, ale może jednak coś się za nią kryło. Czyżby Sue odgadła, że tylko jedno z przyszłych małżonków darzy drugie prawdziwym uczuciem?

- A sądzi pani, że należy mu o tym przypomnieć? Sue oblała się szkarłatnym rumieńcem.

- Ależ skąd! Tylko że w naszym towarzystwie Marcus zachowuje się zawsze tak swobodnie i sympatycznie, a w pani obecności bardzo się zmienia.

- Na gorsze?

- Nie, nie to miałam na myśli. Pani go po prostu przytłacza.

- Ja przytłaczam Marcusa Owena?! On się nie pozwoli nikomu przytłoczyć! Robi zawsze to, co uważa za słuszne. Nigdy też nie zmienia zdania na żaden temat.

Uznał ją za osobę lekkomyślną przed wieloma laty i do tej pory trwał uparcie przy swej opinii. Chyba że oświadczyły świadczą o zmianie zdania? Nie była jednak wcale tego pewna.

Rozmowa z Sue sprawiła jej przykrość. Aby zatrzeć niemiłe wrażenie, pod wpływem nagłego impulsu zaczęła kupować elegancką bieliznę nocną: jedwabne koszulki z koronkami i przezroczyste szlafroczyki.

Tak więc w obecności recepcjonistek i pielęgniarek Marcus jest typem wesołka? Przy Caroline zmienia się jednak w ponuraka, co prowokuje oczywiście niesympatyczne komentarze. Może Sue uważają za zimną rybę? I sądzi, że Marcus zasłużył sobie na kogoś lepszego? Kogoś takiego jak jedna z nich? Niech więc się przekona, że Caroline nie zamierza wkładać do łóżka flaneli i barchanów!

- Czy mogę również uszyć u pani dwie suknie dla druzhen? Z tego samego jedwabiu, ale w innym kolorze? - spytała, gdy ekspedientka spakowała jej zakupy.

- Oczywiście. Na to jednak potrzeba trochę więcej czasu. Kiedy ślub?

- Za dwa tygodnie.

- Proszę w takim razie przyprowadzić jak najszybciej obie druhny.

Wychodząc ze sklepu, Caroline zaczęła żałować, że wyznaczyła tak bliski termin. Po co ma się właściwie spieszyć do małżeństwa z rozsądkiem?

Pastor z kościoła, do którego uczęszczała Caroline, powiedział, że z przyjemnością udzieli jej ślubu, o ile oczywiście ona sama tego pragnie.

- Pragnę - odparła szczerze. - Właściwie zawsze tego pragnęłam, ale chyba wyobrażałam sobie to wszystko nieco inaczej.

- Kocha pani Marcusa Owena?

- Tak - powiedziała krótko.

- W takim razie ma pani moje błogosławieństwo.

Oboje znaleźli kupców na swe domy, lecz załatwienie formalności musiało zająć trochę czasu. Nie mogli zatem liczyć na natychmiastową przeprowadzkę.

W sobotnie popołudnia przychodnia była zamknięta, więc Caroline i Marcus zaprosili współpracowników na uroczystość ślubną i skromne przyjęcie w pobliskim hotelu.

Jednym z niewielu gości był John Lennox, który na wieść o ślubie Caroline oniemiał wręcz ze zdumienia.

- Przecież ty go prawie nie znasz! - wykrzyknął. - Cóż on ma takiego, czego ja nie mam?

Na widok jego zaskoczony miny Caroline wybuchnęła śmiechem.

- Chęć, żeby pojąć mnie za żonę.

- A ja nie?

- Oczywiście, że nie. Ty poślubiłeś pracę.

- Chyba tak - odparł, odzyskując nagle dobry humor. - Choć muszę przyznać, że ostatnio interesowałem się również innymi sprawami. Bądź szczęśliwa.

- Podjęłam takie postanowienie - rzekła dobitnie, pragnąc, by jej słowa zabrzmiały przekonująco. - A Marcusa znam od dawna. Poznaliśmy się w szkole.

- I każde z was poślubiło kogoś innego?

- Tak. W moim przypadku skończyło się to katastrofą.

- A co z małżeństwem Marcusa?

- Jego żona zmarła.

Nie mogła powiedzieć Johnowi, że Marcus też nie zaznał szczęścia w swoim związku.

- Podczas porodu?

- Nie, ale wkrótce potem.

Kiedy myślała później o tej rozmowie, doszła do wniosku, że zataiła przed Johnem nie tylko szczegóły pierwszego małżeństwa Marcusa. Nie mogła jednak ujawnić przyjacielowi całej prawdy, gdyż mógłby ją uznać za osobę niespełna rozumu.

Poza przygotowaniem do wesela Caroline zajmowała się również innymi sprawami. Na przykład spotykała się dość często z Geoffreyem, który zamierzał przejść na emeryturę i omawiał ze współpracownikami sprawy związane z dalszym funkcjonowaniem przychodni.

Czasem, pod koniec dnia wypełnionego pracą, odnosiła wrażenie, że nic się właściwie nie zmieniło. Potem jednak, już w domu, otwierała szafę, w której wisiała kremowa suknia ślubna. Z Marcusem rozmawiała po przyjacielsku, lecz bardzo ostrożnie. Gawędzili o bliźniakach, o Hannah, sprzedaży nieruchomości, o uroczystości ślubnej, przyjęciu - słowem o wszystkim z wyjątkiem ich samych.

Gdyby miała więcej czasu, zastanowiłaby się pewnie głębiej nad przyszłością, ale zamiast tego skupiła się na dzieciach* pacjentach i w tym bezpiecznym kokonie czekała biernie na dalszy rozwój wydarzeń.

Pewnego dnia w jednym z pacjentów rozpoznała Davida Grice'a, ojca kolegi Liama i Lukę'a.

Sympatyczny jasnowłosy mężczyzna był jednym z niewielu ojców przywożących dzieci do szkoły i gdy usiadł naprzeciwko niej przy biurku, Caroline zaczęła się zastanawiać, co też go sprowadza do przychodni. Okazało się, że

Grice cierpi na zaburzenia pamięci i chroniczne wyczerpanie, co wpływa fatalnie na jego życie rodzinne.

- Gdzie pan pracuje? - spytała.

- Jestem dyrektorem finansowym zespołu szpitali - odparł.

- Nie musi pan nic dodawać - rzekła ze współczuciem. - Prowadzenie ksiąg w stanie takiego stresu stwarza ogromne zagrożenie dla zdrowia. Przynosi pan pewnie pracę do domu?

- Tak. Zostaję też często w pracy po godzinach. Dałbym sobie jednak jakoś ze wszystkim radę, gdybym mógł się wyspać. Ale ledwo kładę głowę na poduszce, stają mi przed oczami wszystkie problemy z całego dnia: frustracje, kłopoty i cała reszta. Dlatego jestem wciąż poirytowany. Niestety czasem wyładowuję swoje zdenerwowanie na żonie i dzieciach. Dlatego jestem tutaj, pani doktor. Potrzebuję pomocy.

- Owszem - zgodziła się Caroline. - Stres związany z pracą, brak snu... to oczywiście wiele wyjaśnia, ale przed wypisaniem recepty muszę panu zmierzyć ciśnienie, osłuchać serce, a także zlecić analizę krwi i moczu.

- Po co?

- Żeby sprawdzić poziom cukru.

Serce Davida funkcjonowało prawidłowo, wyniki morfologii miały wykluczyć ewentualną anemię oraz nadczynność tarczycy. Tymczasem należy się jednak zastanowić nad możliwością depresji, a temat ten stanowił prawdziwe pole minowe dla lekarzy, gdyż jest to choroba wyjątkowo trudna.

- Sądzę, że powinniśmy się raczej zająć pana stanem psychicznym - oznajmiła Caroline. - Ulega pan często nagłym zmianom nastroju?

Zastanowił się.

- Chyba tak. Są chwile, gdy czuję się fantastycznie, a zaraz potem mam ochotę popełnić samobójstwo.

- Przepiszę panu środki ułatwiające zaśnięcie i zaczekamy na wyniki badań. Proszę mi jednak wyjaśnić, dlaczego w takiej sytuacji odwozi pan jeszcze dzieci do szkoły?

- Bo to jedyna szansa, żebym mógł się z nimi zobaczyć. Kiedy wracam wieczorem do domu, zwykle już śpią.

- Szpitale, którymi pan zarządza, funkcjonują wspaniale, ale nie powinien pan ponosić uszczerbku na zdrowiu z powodu własnego perfekcjonizmu - powiedziała. - Musi pan się chyba zwrócić do dyrekcji z prośbą o przydzielenie dodatkowych pracowników.

- Mamy tak napięty budżet, że na nic się to nie zda.

- W takim razie proszę wyjechać. Pod koniec tygodnia kończy się szkoła. Zaplanował pan już urlop?

- Dwa tygodnie w Hiszpanii.

- Proszę je dobrze wykorzystać, a najlepiej dołożyć jeszcze tydzień.

Grice skinął ponuro głową.

- Kocham swoją pracę. Fakt, że możemy zapewnić ludziom odpowiednią opiekę medyczną, bardzo mnie cieszy, ale jakoś na razie nie potrafię sobie poradzić z żadną sferą swojego życia.

Popatrzyła na niego z namysłem. Wielu młodych mężów, robiących właśnie karierę zawodową, walczy ze stresem. W dodatku ich żony też starają się udowodnić, że potrafią zarabiać, w efekcie czego mężczyźni nie znajdują w nich oparcia.

- Jeśli chodzi o te tabletki, to proszę zażywać jedną przed snem. Nie więcej. Nie chcę, żeby się pan uzależnił.

Po wyjściu Davida zanalizowała pokrótce własne życie. Zawsze radziła sobie z pracą i sprawdzała się w roli matki

Liama i Luke'a. Czy małżeństwo z Marcusem będzie ponad jej siły, czy też przyniesie szczęście i zadowolenie? Bardzo chciała to wiedzieć.

Marcus pojawił się w tej samej chwili w gabinecie, jakby chciał pospieszyć jej z pomocą.

- Idziesz do domu na lunch?

- Zapomniałeś, że druhny są umówione u krawcowej? Mam się z nimi spotkać w sklepie. Dlaczego pytasz?

- Sądziłem, że możemy razem coś zjeść i przedyskutować parę drobnych spraw, ale oczywiście suknie są na pierwszym miejscu.

- Drobnych spraw? Na przykład jakich? - spytała.

- Wybierzemy się gdzieś na miesiąc miodowy?

- I to jest według ciebie drobna sprawa?

- Chyba tak - odparł sucho. - Skoro do tej pory nie poruszyłeś tego tematu...

- Bo to skomplikowana sprawa... - odparła chłodno, jakby myśl o miesiącu miodowym z Marcusem nie kojarzyła się jej z rajem. - Mamy troje dzieci i trudno byłoby prosić Hetty i twoją ciotkę o to, żeby się nimi zajmowały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Moglibyśmy zabrać dzieci. Nie myślałem zresztą ani przez chwilę o innym rozwiązaniu. Ale może uważasz, że to dobra wymówka, bo nie chcesz być skazana na moje towarzystwo.

- Nie wmawiaj mi takich rzeczy - odparła surowo.

- Przecież się nie mylę.

Zawsze pragnęłam być blisko ciebie, miała ochotę krzyknąć. Ty jednak nigdy nie mówiłeś, że mnie kochasz, więc nie padnę na kolana, żeby cię o cokolwiek błagać. Dlatego pragnę uniknąć jakiegokolwiek prawdziwej bliskości.

- A gdybyśmy się jednak zdecydowali na wyjazd? Co proponujesz? - spytała.

- Kanadę. To piękny kraj.

- Ale dokąd chcesz jechać?

- Dokądkolwiek. Do Vancouveru, Toronto, Quebecu. Pamiętam takie śliczne miasteczko niedaleko Niagary. Wyglądało jak z „Przeminęło z wiatrem”: jedna długa ulica, a po obu stronach sklepiki z różnościami. Większość domów miała białe werandy, a tak zielonych trawników już nigdzie potem nie widziałem. W tym miejscu było coś naprawdę czystego i nieskalanego. Nie zapomnę go chyba do końca życia.

- Byłeś tam z Kirstie? Popatrzył na nią tępo.

- Nie... Ona nie miała czasu.

- Co robiła?

- Już ci tłumaczyłem. Dążyła do doskonałości.

- No dobrze - zgodziła się Caroline. - Jeśli naprawdę chcesz, pojedziemy. Nad morze nigdy nie udało się nam dotrzeć. Hannah może się trochę zmęczyć, ale z nami wszystkimi będzie się na pewno świetnie bawić.

- Nie sądziłem, że się zgodzisz - powiedział, wyraźnie uradowany, i pocałował ją lekko w policzek. - Zaraz po pracy wybiorę hotel i zarezerwuję lot.

- Musimy jeszcze podjąć parę innych decyzji - przypomniała.

- Na przykład?

- W którym domu zamieszkamy, dopóki nie będziemy się mogli przenieść do nowego? No i pozostaje problem twojej ciotki. Jakie ona ma plany?

- Nie chce być zbyt daleko od nas. Upatrzyła sobie nawet chyba jakiś pobliski dom spokojnej starości. To byłoby dla niej najlepsze rozwiązanie, nie sądzisz?

- Oczywiście. Może jednak dokończymy tę rozmowę kiedy indziej? Praca czeka... Mogłabym wpaść do ciebie około wpół do dziewiątej.

- Wspaniale - odrzekł i w tej samej chwili do gabinetu weszła Alison Spence, by ich poinformować, że przyszedł hurtownik z lekami.

Do końca dnia Caroline była w znakomitym nastroju. Nie spodziewała się premii w postaci pobytu w Kanadzie w towarzystwie Marcusa i dzieci. Wyjazd - poza wszystkim innym - miałby jeszcze jedną zaletę. Nikt znajomy nie widziałby ich podczas tych pierwszych dni po ślubie.

A po powrocie wiedziałyby już dokładnie, jak wygląda sytuacja i gdyby jej wyobrażenia rozminęły się z rzeczywistością, mogłaby o to winić wyłącznie siebie.

- Policja do ciebie - oznajmiła ciotka Min tuż przed przybyciem Caroline.

Zmarszczył brwi. Na pewno nie wzywają go na miejsce żadnego przestępstwa czy wypadku, gdyż nie pełni dyżuru. W razie potrzeby mogą skontaktować się z innym lekarzem ze swej listy.

I rzeczywiście. To, co usłyszał w słuchawce, nie miało nic wspólnego z wezwaniem. To było ostrzeżenie.

Wieczór był suchy i ciepły, toteż Caroline postanowiła pojechać do Marcusa rowerem.

Zbliżając się do jeziora, zauważyła mężczyznę pochylonego nad ciemną taflą połyskującą w zachodzącym słońcu. Był to David Grice, pacjent, u którego kilka godzin wcześniej stwierdziła depresję.

Co on tu robi? - pomyślała niespokojnie.

- Dzień dobry panu - powiedziała, zeskakując z roweru, - Znowu się spotykamy.

- Żona chce ode mnie odejść - wyznał bez wstępu David, nie odrywając wzroku od wody.

- Dlaczego?

- Bo mówi że nie może ze mną wytrzymać.

- Nie wie o pańskiej chorobie?

- Może wie, może nie - odparł, wzruszając ramionami. - Interesują ją tylko moje pobory.

W tym stwierdzeniu nie było nawet cienia goryczy - jedynie ogromne zmęczenie. Caroline zdawała sobie sprawę z tego, że nie może go zostawić w takim stanie.

- Chyba powinniście poważnie porozmawiać - poradziła delikatnie. - Może pójde z panem i sama najpierw pomówię z pańską żoną. Czy ona wie, że był pan u mnie?

- Nie.

- W takim razie trzeba ją o tym poinformować.

Gdy zaczęła odciągać go od wody, roześmiał się głucho.

- Nie mam zamiaru się rzucić do jeziora, jeśli właśnie tego się pani obawia.

- Oczywiście, że nie - powiedziała. - Ale lepiej będzie, jeśli pójdzie pan do domu, zamiast tu siedzieć.

- Tutaj nikt przynajmniej niczego ode mnie nie chce.

- A w domu?

- Bez przerwy.

- Może tak się panu tylko wydaje z powodu zmęczenia.

- Może.

- Kiedy lekarstwo zacznie działać, świat wyda się panu na pewno znacznie piękniejszy. Idziemy. Dotrzymam panu towarzystwa.

- Pewnie pani nie wie, że mąż prosił mnie o poradę, bo źle się czuje - powiedziała Caroline, gdy na próg domu Grice'ów wyszła pewna siebie blondynka o kamiennej twarzy.

- Nie! Nie mówił nic podobnego.

- Może nie chciał pani martwić, ale on naprawdę potrzebuje pomocy, a pani decyzja o odejściu nasiliła depresję.

- Te zmiany nastrojów doprowadzają mnie do szału - odparła kobieta, opadając bezwładnie na pobliskie krzesło. Jej pewność siebie zniknęła. Wyglądała teraz jak zagubiona mała dziewczynka.

- Wiem, że trudno ze mną ostatnio wytrzymać - przyznał David, kładąc jej rękę na ramieniu. - Ale to praca tak mnie wytrąca z równowagi. Kocham ciebie i dzieci tak samo jak kiedyś. Czy możemy spróbować jeszcze raz?

- Pewnie możemy - odparła, uśmiechając się przez łzy. Caroline szybko wyszła i zostawiła ich samych. Ona też miała swoje problemy, a przez Grice'ów musiała je odłożyć na ponad pół godziny.

- Gdzie się podziewałaś? - spytał z irytacją Marcus, otwierając drzwi. - Umówiliśmy się przecież na wpół do dziewiątej.

- Owszem - odparła przepraszaście - ale spotkałam kogoś w parku i musiałam zmienić plany.

- Musiałaś zmienić plany!

- Niestety tak.

- Przez Johna Lennoxę?

- Ależ skąd!

- Wszystko jedno. Tak czy inaczej, wolałaś inne towarzystwo. Może powinnaś być zostać w tym parku.

Chciała wyjaśnić spokojnie Marcusowi, co się stało, ale on już zdążył ją osądzić i uznać za nieodpowiedzialną.

- Może i tak, ale ten, przez którego się spóźniłam, tak naprawdę nie mnie potrzebował. To mój pacjent cierpiący na depresję. Musiałam go zabrać z jeziora i odprowadzić do domu.

Powiedziawszy to, wskoczyła na rower i odjechała, a Marcus patrzył za nią zaskoczony.

Następnego dnia rano spotkali się na parkingu przed przychodnią.

- Musimy porozmawiać - powiedział. - Zamówiłem stół u Mario.

- Wystarczyłyby same frytki - odparła przekornie. - Nie musisz się dzisiaj wysilać. Wczoraj zachowałeś się naprawdę okropnie.

- Nie bez powodu - odparł z błyskiem w oku.

- Ja tego powodu nie znam. Oczekiwałam przeprosin, ale widzę, że na darmo.

- Zamierzałem to zrobić podczas lunchu. Na razie jednak proponuję, żebyśmy dali sobie całusa na zgodę i przestali się kłócić - poprosił, chwytając ją za rękę.

Ale ona nie miała na to ochoty. Nie tu, na parkingu, pod ostrzałem spojrzeń pracowników i pacjentów przychodni. Ponadto złość wcale jej jeszcze nie minęła.

- Puść mnie - sarknęła.

- Dobrze. Do zobaczenia o pierwszej u Mario. Zgoda?

- No i? - spytał Marcus, zerkając znad karty dań.

- Co?

- Już mi wybaczyłaś?

- A co to za różnica?

- Istotnie żadna. Kierowały mną szlachetne pobudki.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. O wczorajszą awanturę?

- Nazywaj to, jak chcesz - odparł spokojnie. - Nie chciałem ci tego mówić, ale ten wariat z czarnego samochodu zaczyna się odgrażać. Zależliśmy mu za skórę i chce się na nas zemścić. Wczoraj dzwoniła do mnie policja. Ty nie przychodziłaś i wyobraźnia dała o sobie znać.

Caroline uśmiechnęła się lekko. Może Marcusowi naprawdę na niej zależy?

- Więc dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś, kiedy się już zjawiłam? - spytała.

- Chciałem. Ale ledwo zdołałem pozbierać myśli, ty już odjechałaś.

- Dziwisz mi się?

- Na miłość boską! Ty w ogóle nie rozumiesz, co ja wtedy czułem, prawda? Zresztą nie musisz. To nie należy do naszej umowy.

Nie odpowiedziała mu wyłącznie dlatego, że skamieniała ze zdumienia, bo do restauracji wszedł John Lennox w towarzystwie Stephanie. Byli tak pochłonięci sobą, że dostrzegli Marcusa i Caroline dopiero w chwili, gdy niemal się o nich otarli.

- Cześć! - zawołała niepewnie Stephanie, a John skinął tylko głową i poprowadził swoją towarzyszkę do stolika pod ścianą.

- Może teraz wreszcie uwierzysz, że między mną i Johnem naprawdę nic nie ma. Bo jeśli oni nie są w sobie zakochani po uszy, to już nie wiem, kto jest.

W drodze do przychodni oboje milczeli.

- Wiedziałem, że Stephanie wcale się mną nie interesuje - przyznał Marcus, zatrzymując auto pod przychodnią. - Wspomniała nawet raz, że kocha się w innym mężczyźnie, ale nie sądziłem, że chodzi o Lennox. Co ty na to?

- Bardzo się cieszę - odparła. - Będą się świetnie uzupełniać. Po tej miłej niespodziance pora wrócić do tematu grózb. Czy powinniśmy się bać? Mnie to przeraża.

- Facet siedzi w areszcie, a że dopuszczał się już rozbojów, jest szansa, że trafi do więzienia. Jutro staje przed sądem. Wczoraj uległem panice. Wymyśliłem sobie, że ten drań naśle na ciebie kogoś z rodziny lub przyjaciół i kiedy odjechałaś, poprosiłem policję, żeby obserwowała twój dom. Z tego, co wiem, trochę się jednak uspokoił, bo grozi mu więzienie. Tak czy owak, wolałbym móc cię pilnować dzień i noc. Razem będziemy niepokonani, prawda?

Nie odpowiedziała, zatopiona w myślach. Była daleka od takiego optymizmu.

Następnego ranka otrzymała wezwanie do państwa Bracken, starszuchów na emeryturze, mieszkających w małym domku nieopodal katedry. Państwo Bracken byli wprawdzie pacjentami Geoffreya, ale starszy wspólnik nie pracował w piątki i Caroline musiała go zastępować.

Otworzył jej wysoki starszy pan, niegdyś na pewno wyjątkowo przystojny, lecz teraz stanowczo zbyt chudy i przygarbiony. W jego oczach płonął jednak nadal młodzieńczy blask.

Na widok Caroline uśmiechnął się radośnie.

- Chodzi o Margaret, pani doktor - powiedział, prowadząc Caroline do małego, przytulnego saloniku. - Bardzo się przeziębila. Pan doktor Geoffrey twierdzi, że trzeba z tym uważać. Margaret ma bardzo ograniczoną zdolność poruszania się, więc każda taka choroba może się szybko przerodzić w zapalenie płuc.

- Niestety, tak - potwierdziła. - Żona leży w łóżku?

- Oczywiście. W południe przychodzi pielęgniarka i pomaga jej wstać, a ja kładę ją z powrotem wieczorem.

Przed rokiem Margaret Bracken dostała wylewu. Fizykoterapia nie przynosiła oczekiwanych efektów, w związku z czym chora nadal miała bardzo ograniczoną zdolność poruszania się. Proponowano jej kilkakrotnie pobyt w domu opieki, ale jej mąż nie wyraził na to zgody. Teraz, gdy Caroline zobaczyła tę parę razem, doskonale rozumiała dlaczego.

Margaret Bracken była maleńka; gdy mąż położył swą wielką rękę na jej delikatnej dłoni, Caroline poczuła dziwny ucisk w gardle.

- Lekarz do ciebie, Margaret - rzekł łagodnie. - Tym razem to kobieta. Jak zapewne pamiętasz, doktor Geoffrey nie pracuje w piątki.

Śmiech staruszki przypominał dźwięczenie maleńkiego dzwoneczka.

- Wiem, wiem, kochanie. Doktor zaczyna się starzeć. Tak samo jak my - powiedziała i odwróciła głowę do Caroline. - Robię wszystkim ostatnio strasznie dużo kłopotów, pani doktor. Nie rozumiem, jak George ze mną wytrzyma.

Starszy pan uśmiechnął się filuternie.

- Ja też tego nie rozumiem. Jak pani widzi, już opadam z sił - odparł, osuwając się na fotel.

- Naprawdę uważaj, żebyś się nie rozchorował - powiedziała czule pani Bracken.

- Na pewno nie. Jestem niezniszczalny - oświadczył, wstając.

- Z pewnością - odparła Caroline. - Może jednak pomyśleliby państwo o wakacjach? Pan musi odpocząć, żona wymaga opieki...

- Nigdy się nie rozstajemy - odparł stanowczo mężczyzna. - Jesteśmy razem od pięćdziesięciu lat i tak już zostanie, dopóki ten ktoś z góry nie zadecyduje inaczej.

- Mogliby państwo wyjechać w to samo miejsce - powiedziała cierpliwie Caroline.

- To co innego. Jeśli razem, to tak.

- Kiedy już minie ta infekcja, poproszę Geoffreya, żeby coś dla państwa wymyślił. Na razie przepiszę antybiotyki i środek wykrztuśny. Jeśli objawy będą się utrzymywały, proszę koniecznie dać znać.

- George tyle dla mnie robi. Bardzo się o niego martwię - szepnęła Margaret Bracken. - Poszłabym do domu opieki, ale on nie chce się na to zgodzić.

- Oczywiście, że nie - potwierdził z mocą. - Dopóki mam jeszcze siły i oddycham, zostaniemy razem.

- A jak je stracisz? - spytała łagodnie.

- Każę się znowu napompować - odparł ze śmiechem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jechała do przychodni w ponurym nastroju. Czasem, jako lekarz rodzinny, bywała świadkiem niezwykłych sytuacji. Tak jak dziś. Czowała ogromny podziw dla Brackenów za pogodę, z jaką znosili swój los, zazdroszcząc im jednocześnie miłości i oddania.

Wiedziała, że ona sama nigdy nie zazna takiego szczęścia. A tymczasem jutro miał się odbyć jej ślub. Od początku zdawałaś sobie ze wszystkiego sprawę, upominała siebie w myślach. Zresztą chłopcom będzie lepiej z Marcusem.

Popołudnie spędziła jednak w minorowym nastroju.

Marcus zatelefonował wieczorem, aby sprawdzić, czy wszystko jest przygotowane. W ciągu dnia prawie z sobą nie rozmawiali. Najpierw Marcus jeździł do pacjentów, a potem spędził resztę czasu z lekarzami, którzy mieli ich zastępować podczas miodowego miesiąca. A kiedy Caroline skończyła wreszcie popołudniowy dyżur, wezwano go do wypadku.

- Bardzo mi przykro, że byłem przez cały dzień taki nieuchwytny - powiedział, gdy podniosła słuchawkę. - Na szczęście mamy przed sobą całe dwa tygodnie. Jest z czego się cieszyć.

Caroline nie była jednak w tej chwili zdolna do radości. Milczała.

- Czy coś się stało? - spytał, nie otrzymawszy odpowiedzi.

- Nie - skłamała. - Jestem po prostu zmęczona. Mam za sobą ciężki dzień.

- Wyobrażam sobie. Tak więc jesteśmy gotowi na jutro?

- Nie zdołałam jedynie ustalić pogody.

Ani tego, co naprawdę czuję, miała ochotę krzyknąć.

- To dobrze - odparł szybko, jakby oczekiwał czegoś więcej. - Myślę, że powinniśmy się położyć wcześniej spać, żeby być w formie w ten wielki dzień.

- Oczywiście - zgodziła się cicho. - To dobry pomysł - dodała, odkładając słuchawkę.

Co dziwne, udało się jej zasnąć, a gdy się obudziła, wiedziała dokładnie, co należy zrobić. Włożyła stare dzinsy i bawełnianą koszulkę, po czym poszła szukać Hetty.

- Niech chłopcy i Stephanie nie przebierają się jeszcze na ślub. Muszę coś przemyśleć.

- Co takiego?! - Hetty uniosła ręce z przerażeniem. - Chyba nie zamierza pani odwołać ceremonii?

Nie otrzymała jednak odpowiedzi. Caroline wyszła z domu, przecięła ogród i znikła jej z oczu.

Od chwili, gdy opuściła sypialnię, postępowała w bardzo zdecydowany sposób, lecz teraz zupełnie nie wiedziała, co robić. Co do jednego nie miała żadnych wątpliwości: musiała zostać sama, aby rozwiązać swój dylemat. Wstydziła się również tego, że z tak ważną decyzją czekała do ostatniej chwili.

Marcus byłby wściekły, gdyby odwołała ślub, lecz cierpiałby raczej z powodu urażonej dumy niż zranionych uczuć, i to ją pocieszało. On też na pewno ma jakieś wątpliwości. Najwyraźniej jednak nie okazały się one na tyle poważne, aby go skłonić do zmiany zdania.

Po kilku minutach doszła do katedry i patrzyła ponuro na zabytkową budowlę, która najwyraźniej zapraszała ją w swe podwoje. Wkraczając w cienistą ciszę, pomyślała, że tutaj właśnie chciała wziąć ślub.

Rozwód z Jamiem udaremnił jednak jej plany. Pierwsze małżeństwo wiele zniszczyło w jej życiu. Przede wszystkim odebrało szansę na miłość Marcusa. Zrozpaczona, podeszła wolno do najbliższej ławy.

Patrząc tępo przed siebie, zrozumiała, że od chwili wizyty u Brackenów ta decyzja stała się po prostu nieunikniona. Nie mogła poślubić Marcusa ani ze względu na dzieci, ani też po to, by zaspokoić swoje pragnienia i być z nim na każdych warunkach. Popełniłaby grzech w oczach...

Usłyszała trzaśnięcie drzwi, ale nie zwróciła na to uwagi. Ten dźwięk dochodził do niej z innego świata, świata, o którym na chwilę zapomniała. Kiedy jednak usłyszała, że woła ją Marcus, wróciła natychmiast na ziemię i popatrzyła na niego zaskoczona.

Słońce padające na witraże rzucało barwną poświatę na jego postać. Na twarzy Marcusa malowało się cierpienie.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? - spytała.

- Hetty pobiegła za tobą, a potem szybko zadzwoniła do mnie. Chyba się jej wydawało, że masz wątpliwości.

- Owszem.

- I byłabyś na tyle łaskawa, żeby mnie o nich poinformować, czy też czekałbym na darmo przy ołtarzu?

- Oczywiście, że nie czekałbyś na darmo. Do ślubu zostało przecież trochę czasu. Poinformowałabym cię z pewnością o decyzji, ale najpierw chciałam zostać sama i zajrzeć w głąb swojego serca.

- A więc mnie nie kochasz?

Caroline otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Czyżby słuch jej nie mylił?

- Przecież jest zupełnie odwrotnie! - krzyknęła. - To ty mnie nie kochasz. Myślałam, że się bez tego obejdę, ale nie potrafię.

Teraz on z kolei bardzo się zdziwił.

- Więc jednak ci na mnie zależy! Chciałem przyjąć wszystko, co mogłaś mi ofiarować, a teraz dowiaduję się nagle, że czujesz to samo co ja. To niesamowite! Oczywiście, że cię kocham, Caroline. Zawsze cię kochałem. Ale od chwili, gdy spotkaliśmy się po raz drugi, trzymałaś mnie na dystans. Udowodniłaś mi tylko parę razy, że czujemy do siebie pociąg seksualny, i na tym poprzestałaś. Nie dopuściłaś mnie do siebie ani na krok.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czowała, że tego dnia nigdy nie zapomni.

- Przez całe życie żałowałam, że od ciebie odeszłam - powiedziała ochryplym głosem. - Kiedy nasze drogi znów się spotkały, pomyślałam, że otrzymałam od losu drugą szansę. Potem jednak zdałam sobie sprawę, że oboje boimy się prawdziwego przywiązania, gdyż mamy za sobą nieudane związki. Kiedy poprosiłeś mnie o rękę, zgodziłam się, bo naprawdę cię kocham i chciałam być z tobą. Wczoraj jednak zrozumiałam, co to jest prawdziwa miłość. Wydało mi się, że nas łączy coś znacznie bardziej płytkiego, coś w pośledniejszym gatunku i w tej sytuacji mogłam jedynie odwołać ślub. To byłoby najlepsze rozwiązanie.

- Najlepsze rozwiązanie! - zaprotestował. - O mało nie umarłem, kiedy Hetty do mnie zadzwoniła! Nie martwiłem się wcale tym, że nie zechcesz za mnie wyjść! Byłem przerażony, że znowu cię stracę. Podejź do mnie, najdroższa - dodał ciszej i tak łagodnie, że stopniało jej serce. - Zaraz ci opowiem, jak bardzo cię kocham. Uwierz, że jest to uczucie o wiele większe niż to, jakim kiedykolwiek darzyłem Kirstie.

Dotknęła delikatnie jego twarzy.

- Gdybyś tylko wiedział, jak o tym marzyłam! Czuję się tak, jakbym wróciła z pustyni!

Marcus roześmiał się cicho.

- W takim razie powiem to jeszcze raz, i jeszcze i jeszcze. - Mów - szepnęła.

Rozejrzał się po zabytkowym wnętrzu. Wspaniałe rzeźby i posągi przypominały o powadze miejsca.

- Nie mogę cię tu zacałować na śmierć. Nie wypada, Chodźmy i powiedzmy družbom, żeby jednak się ubrali. Dobrze?

- Och tak! - szepnęła i wyszli razem prosto w słońce.